Z DAROW POŚMIERTNYCH
ALOIZEGO WŁADYSŁAWA
Z DAMAJOWIC STRZEMBOSZA

Powieść Składana.

J. I. Kraszewski.

John of Dycalp.

dubl: 4029

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1843.

J. I. Kraszewski

Powieść składana

John of Dycalp Józef Ignacy Kraszewski

Józef Zawadzki, Wilno, 1843

Pobrano z Wikiźródeł dnia 22 września 2025

Powieść Składana

J. I. Kraszewski.

John of Dycalp.

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1843.

PRZEDMOWA

I • II • III • IV • V • VI • VII

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury.

Wilno, 1813 roku, 5 lipca.

Cenzor JAN WASZKIEWICZ.

*Tekst jest **[właśnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: [Placyd Jankowski](#), [Józef Ignacy Kraszewski](#).*

Kochany Czytelniku!

NIERAZ zapewne, śród trosk domowych, śród kłopotów urzędowania, słowem, śród chmury smutków nieoddzielnych od życia, trapiłeś się jeszcze tą myślą, że są ludzie do tyla biedni, co nie wierzą ani w miłość platoniczną, ani w przyjaźń literacką. Tak, tak, są, niestety! Nieszczęśliwi ci mają pospolicie temperament żółciowy, lat przeszło cztérdzieści, cerę bladą, humor zwaśniony z całym Bożym światem, i czytają powieści — wyobraź sobie, kochany Czytelniku, *imaginez vous!* — suchemi oczyma, z wargą zaciśniętą, bez łez, bez uśmiechu. *Poveretti!* Moglibyśmy do nich powiedzieć z doktorem *Hannemannem:* „Mości Panowie! jeśli nie wierzycie, raczcie ustąpić z łaski swojéj, bo dla waszéj opłakanéj niewiary, ulatnia się cudowna własność naszych pigułek!” — Ale że podobni ludzie, jak wszyscy zostający w błędzie, zasługują raczéj na politowanie, więc zamiast *Filippik*, które od czasów Demostenesa nic przekonywają jakoś nikogo, przytoczymy im przykład żywy, oczywisty, wzięty z epoki bieżącéj, to jest, z roku łaski 1845, *mówię: tysiąc ośmset cztérdziestego trzeciego*.

Oto dwaj pisarze, których imiona, podług słów Glücksbergowskiego *Uwiadomienia*, „tak zaszczytnie są znane czytającéj powszechności, że w téj materii rozciągać się nawet nie warto,” nie będąc sobie osobiście znajomi,

(tak jest, łaskawy Czytelniku!) jedynie na mocy pobratymstwa i dobréj zażyłości, w jakiéj zostawały ich dusze w sferach gwiaździstych, weszli z sobą w przyjaźń listowną, ale tak ścisłą, serdeczną i niezachwianą, o jakiéj ani mowy być nic może miedzy tymi godnymi litości przyjaciółmi, co znają siebie osobiście. Jest to bez wątpienia rzecz bezprzykładna w całéj starożytności, to jest, aż do chwili *włącznie*, gdy wynalazek pisma i poczty, spoczywające na łonie czasu, obudziły się nakoniec. Więcéj powiémy, jest to może rzecz jedyna, przekonywająca najświetniéj i o doskonaleniu się rodu ludzkiego, i o téj często pod wątpliwość podciąganéj prawdzie, że wynalazki przynoszące materijalne korzyści, zostają też w ścisłym związku z moralnym postępem ludzkości. Bo komu-ż nie wiadomo, że od przyjaźni krok tylko jeden do *miłości?* Gdyby więc ta wszechwładna królowa świata raczyła przyzwolić na malutką *kondescensiją*, i zaniechawszy harmiderów domowych, latała jak dawniéj pocztą na gołąbkach... o jakże jesteśmy pewni, że idea Platona o miłości dałaby się na prześliczną *rzecz* zamienić!!

Ale przepraszamy za ustęp, skądinąd usprawiedliwiający się doskonale swoją nowością i ważnością przedmiotu. Wracamy do opowiadania.

— Wspomnieni dwaj przyjaciele listowni wpadli na pomysł świetny i nowy, a więc *spółcześnie* (jak to się pospolicie zdarzać zwykło właścicielom wszystkich wielkich pomysłów) na pomysł napisania *składanéj powieści*, ale to tak, aby plan i treść po sobie następujących rozdziałów nie były z góry ułożone i zależały wprost od

natchnienia piszącego, i od łaski losu. Zdałoby się, że niepodobna już obmyślić delikatniejszego sposobu do uproszenia natchnienia; i dwaj listowni przyjaciele, zawierając z sobą niniejszą umowę, pewni byli niemal tego pożądanego gościa; a więc tylko dla formy, zastrzegli siebie nawzajem, że jeśliby ostatniém już nieszczęściem składana powieść się nie udała, tedy pocichu, bez wrzawy i bez żadnych obrzędów, zostanie oddaną na całopalenie.

Zatém przystąpiono było do pisania. — Długo byłoby opowiadać, jako piérwszy rozdział wydał drugi; jako dwaj piszący dziwili się w duchu, nie pojmując siebie nawzajem; jako wchodzić w objaśnienia zabraniała im umowa; jako przekonali się rychło, że należy im położyć całą ufność w Allahu i mieć się co najprędzéj ku końcowi; jako żartem i krom żartu przebąkiwali o całopaleniu powieści, i jaka to wielka szkoda, że nie przyszło do téj ofiary? —

Że zaś żadną miarą przyjść nie mogło, to niech Ci będzie jawno, kochany Czytelniku, z uwag następujących:

1. Która-ż matka, nawet z tych nieszczęśliwych, co śmieją *vel śmią* grozić śmiercią swojemu rodzonemu dziecięciu, zdolną jest spełnić tę groźbę? — Jeżeli Józef Flawijusz wspomina o podobnych przykładach, zdarzonych jakoby podczas oblężenia Jerozolimy, to krytyka wyższa dawno już uczyniła uwagę: że to opowiadanie jest czysto hyperboliczne, orientalne, i zmierzało jedynie do zagrzania patriotyzmu Żydów. Józef jak gdyby w te słowa odzywał się do swoich ziomków: „— Wasi przodkowie nie wahali się zagrzebać w gruzach świętego miasta, wasze matki gotowe były raczéj własnoręcznie pozabijać swe

niemowlęta, niżeli je widzieć w niewoli; a wy czysta krwi, nieodrodne potomki tych bohaterów!!” — I czas okazał, że nie było to wezwanie do głuchych. Żydzi dotąd zapalają się męstwem na samo wspomnienie swoich rycerskich przodków, czerwienią się ze złości na samo imie Rzymian, i jeśli nie wypowiedzieli im otwartéj wojny, to jedynie dla tego, że przewidujący Rzymianie rostropnie zniknęli sobie ze sceny świata.

2. Mówi się pospolicie, że autorowie są dla dzieł swoich z uczuciem rodzicielskiém; czemuż przecię nie mówi się nigdy, że są oni z uczuciem *ojcowskiém* — lecz z *macierzyńskiém?* Pozwólmy że to jest w pewny sposob *anomalija*, ale pełna znaczenia; maluje ona najwyższy stopień przywiązania, i dostatecznie wyświetla: dla czego żaden z autorów nie miał nigdy serca do zniszczenia swojego dzieła? — „Rozkaz zabicia syna — jak uważa pewna matka — danym był Abrahamowi, ale nie Sarze!” — Sławnéj pamięci Wirgilijusz Maro całe życie zabierał się do spalenia Eneidy; przy śmierci jednak, gdy zdało się niektórym z opodal stojących wykonawców jego woli, jakoby poeta mówił: „*comburatis Eneidam*!” bliżsi zaświadczyli zgodnie, że mówił: „*ne comburatis*! *nie palcie*!

3. Autorowie niniejszéj powieści, wydając ją na świat, powodowani byli nadto szczególną uwagą, która ze względu zawisłości syllogizmu jest zapewne nieco zasubtelną, niemniéj jednak ważną, dla swojéj prawdy i nowości. Codzienne usiłowania spółki paryzkich wodewilistów, powszechnie znajomy przykład Panów

Barthelemy i *Mery*, i że sięgniemy świéższéj jeszcze i bliższéj przygody, Panów *Brambeusa* i *Tymofiejewa* — wszystkie te przykłady aż nadto są dostateczne dla utworzenia pewnika: że spółki autorskie kończą się, niestety! dość nieszczęśliwie. Ale nie było jeszcze przykładu, albo, że tak powiémy, brakło właśnie przykładu, jakiego-by też powodzenia mogła być powieść napisana przez dwóch nieznajomych sobie ludzi, bez planu poprzednie obmyślonego, i z całą tą tak ponętną i tyle okrzyczaną swobodą natchnienia i gry wyobraźni? Doświadczenie, i zimny rozsądek, po przejrzeniu niniejszéj powieści, wyrzekły: że taką powieść bez namysłu i zwłóki należałoby rzucić na kominek, i wielbiąc z Delillem powaby zimy, patrzeć,

Dłoń uzbroiwszy posłuszném żelazkiem,
Jak ćmy skier szeleszczących wylatują z trzaskiem[1].

Ale serce autorskie, skromne i czułe, powiedziało inaczéj:

— Spalić! Cóż w niéj niebezpiecznego, niemoralnego? Czyli-ż dla tego spalić biedną powieść, że nudna i wodnista? Ręczę was, że jéj nawet nie weźmie się ogień! —

Rzuciliśmy na próbę kawałek brulonu. Prawda!

— Otoż widzicie! —

— Ależ Zawadzcy! Po cóż mają tracić biedni Zawadzcy?... Czyliż im liczyć za winę, że młodzi i szlachetni! —

— Moi Panowie! Przepióreczka jeszcze zupełnie nie

okluje łupiny, a już biega. Podobnież i z Księgarzami. Mają oni spekulacije dziedziczne, tak dobrze i głęboko obmyślane, że to nie do uwierzenia. I dla czego-ż, myślicie, podejmują się oni, od czasu do czasu, wydania takich rzeczy, jak wasza *składana powieść?* —

— A dla czego-ż by, jeśli nie dla samej nowości, zawsze mniéj więcéj pokupnéj?... —

— Bynajmniéj. Nieraz się zdarza, że nie sprzedadzą oni ani jednego egzemplarza ze swojego wydania, ręczę was, ani jednego! Przeznaczenie pism takich, jak wasza powieść, jest zupełnie oddzielne. Są one tém w obrótach Księgarzy, czem w Strategii: *cohorte perdue*; służą im dla ustawiania półek, na których znajdują się dzieła prawdziwie cenne i pożyteczne, a to w tym celu, uważcie: aby mole i myszy, za tarczą pism waszych, oszczędziły dzieł klassycznie pięknych i wzorowych. Bo mole i myszy, te mściwe narzędzia czasu, te nieubłagane wyrocznie potomności... —

— Kto? mole i myszy!! To już też czyste żarty!

— Bynajmniéj. Mściwe te narzędzia czasu mają instynkt cudowny, którego dość podziwiać nie podobna. Rzucają się one ze szczególném upodobaniem na wszystkie powieści i pisma podrzędne, i tylko w przypadku ostatecznego już głodu, dotykają dzieł pożytecznych. Księgarze wiedzą o tém, i biorą się na stosowne sposoby. Oto tajemnica, dla któréj imiona prawdziwie sławne i dzieła prawdziwie pożyteczne, opierają się szczęśliwie zniszczeniu czasu i przechodzą nieśmiertelne do potomności, podczas gdy millijony innych... —

— Dobrze jest. Ale czy też to wyda się ładnie, ze

złączonémi siłami nie zdołaliśmy skleić nawet ladajakoznośnéj powieści? —

— Publiczność jest już z tém oswojona. Montesquieu dawno powiedział o akademii paryzkiéj: „zda się, że najlepsze nawet głowy niedołężnieją, gdy są razem.” *Najlepsze*! a więc uważcie moi serdeczni Panowie, żeście usprawiedliwieni od stóp do głowy! —

1. ↑ Feliński.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Placyd Jankowski, Józef Ignacy Kraszewski.*

I.

— Mój drogi stryju! zwiedziliście tyle świata, rąbaliście się nieraz, jak sami powiadacie, za ładne kobiéty, i ulatywaliście dla nich po pięćdziesiąt mil w dobę, i Niebo tylko raczy pamiętać o *wszystkiém;* powiedzcie mi jednak, jak kochacie honor, czyście widzieli w swém życiu co równie pięknego, jak moja Antosia? —

— A wiész-że co? mój mosanie! powróć mi lat cztérdzieści i dawne czasy, a potém już nazwij czém chcesz — jak najdobitniéj — jeślibym chciał choć spójrzeć, choć skinąć wąsem na twoję Antosię. —

— Jest to tak obojętne, kochany stryju, stworzenie, że nawet ta jawna z waszéj strony niełaska nie zmartwiłaby jéj śmiertelnie. —

— Rozumiem cię, mój mosanie, i na dowód, że rozumiém, powiém ci na ucho, nie przez zemstę, broń Boże, ale litując się najszczérzéj nad tobą — żeś strasznie, kolosalnie, kubicznie głupi. —

— Kochany stryju! prawdaż to, żeście dużo podobni do mojego ojca? —

— Kropla w kroplę, mój mosanie! —

— To w cóż się teraz obróci moje zawołane podobieństwo do nieboszczyka ojca? —

— Kiedy tak chcesz, odpowiém ci i na to. Ojciec twój,

pokój jego popiołom, był walny, szczéry, braterski człowiek. Nie znał on tych faryzejskich, niepoczciwych, tych jakichś waszych teraźniejszych wybiegów, któremi ty, mój mosanie, jak stary bankrut, chcesz mi się tu ratować; ale ręczę cię, jakem chrześcijanin, jak żołnierz, że nie dopuściłby on nigdy, aby nasz herbowy Gryf miał się zamienić na sójkę w twojém ręku; nie ręczę cię nawet, mój mosanie, czyliby twój ojciec, w teraźniejszym stanie rzeczy, nie uczynił zamachu — choćby tylko jakie kilkadziesiąt razy — na swoje własne podobieństwo! A potrzebujesz wiedzieć, że nieboszczyk miał rękę okrutnie z góry na dół podatną. —

— Nic łatwiejszego, kochany stryju, jak ręczyć w imieniu nieboszczyków. A jabym sądził, na mocy prawidła, zabraniającego przypuszczeń uwłaczających czci zmarłych, że nie tylko mój drogi ojciec, ale nawet dziad, pradziad i wszyscy obecni tu praszczurowie, jeśliby mogli na chwilę ożyć w portretach i spójrzeć na moję Antosię, wszyscy jednomyślnie, sejmowym głosem potwierdziliby mój wybór — i nawet uchwaliliby mi familijne *laudum*. —

— Dobrześ powiedział, mój mosanie, choć ani wątpię, że to przypadkiem, bez zastanowienia i bez najmniejszéj zasługi w obliczu rozumu. Tak, jeśliby twoi przodkowie mogli ożyć i spójrzeć przez chwilę na twoję Pannę Antosię — ale słyszysz mi, przez jednę tylko chwilę — możeby ją i udarowali pochwałą: bo nasz ród słynął od wieków z dworności; ale posłuchaj, powiadam ci, mój mosanie, jakem szlachcic, jeśliby oni mogli wiedzieć tak *dokumentnie*, jak to mnie jest wiadomo, co za śliczne cnoty

posiada ta twoja Panna Antosia, wierzaj mi, że bez żadnych ceremonij, zapisaliby cię oni natychmiast do bractwa *biczowników.* —

— Cóś nie żartem zaczynasz ubliżać, stryju, mojéj narzeczonéj; ośmielam się więc przypomnieć, z winném mojemu opiekunowi uszanowaniem, że za imie mojéj narzeczonéj, chociaż dałem to imie Antosi bez waszéj wiedzy i woli, gotow byłbym zadzwonić w szable, z kimkolwiek — nawet —

— Nawet z rodzonym stryjem! Czemuż nie kończysz? dobry, przywiązany, uległy synowcze! — A wiész-że młokosie, chłystku, fjutko, mój mosanie, że-bym cię tu na miejscu w sztuki rozsiekał, nie zważając jaka w tobie krew płynie, jeślibyś śmiał odezwać się mi podobnie przed laty cztérdziestu. —

— Proszę mi darować, kochany stryju, ale to-by nie nastąpiło. —

— Co nie nastąpiłoby! nie nastąpiło! — Nigdym nie zwracał uwagi na twoje puste mowy; ale kiedy doszło do tego, że mi dotykasz honoru, że mię śmiész robić samochwałem, junakiem, pustomówkiem, jakimi wy wszyscy dziś jesteście — musisz mi tu natychmiast wytłómaczyć się z każdego swojego słowa, albo, przez Ś. Tadeusza, ciężko pożałujesz swego! —

— Tak jest, kochany stryju, to-by nigdy nie mogło nastąpić, dla piętnastu przyczyn. —

— Co? i jeszcze dla piętnastu przyczyn! Ty mi to śmiałeś, ty śmiész powiedzieć! Więc od dziś dnia, wyrzekam się stryjostwa, opieki, gardzę tobą —

wyjeżdżam. —

— Ależ, drogi stryju, daj przecię sobie wymienić choć piérwszą z tych przyczyn: przed cztérdziestą laty nie było mnie jeszcze na świecie. —

— Przewidziałem, to jest, mogłem przewidzieć, że tak mi odpowiész. Głupstwo wieczna twoja przyczyna, i mógłbyś w niéj umieścić nie tylko jeszcze piętnaście innych, ale legijon legijonów. Otoż to młodzież dzisiejsza! Lituję się nad tobą, mój mosanie! Wyście nie warci nawet gniewu takich ludzi, jakimi byli wasi przodkowie! —

— Najświętsza prawda, drogi stryju! Po cóż więc było gniewać się na półgłówka, który w żaden sposób nie czuje się godnym i nie życzy sobie tego zaszczytu? —

— To jest, mówiąc po prostu, uczciwie, jak mówiono za moich czasów, gdy słowa były jeszcze sposobem do wynurzenia myśli, nie życzysz sobie, mój mosanie, abyśmy dłużéj mieszkali razem! Przewidziałem, mogłem przewidzieć, że prędzéj czy późniéj to nastąpi. Kłaniam, kłaniam uniżenie, kłaniam ci jak najuniżeniéj, mój mosanie! —

I wymawiając te słowa, stryjaszek kłaniał mi w rzeczy saméj, ale tym ukłonem szyderczo-staroświeckim, jakim kłaniali sobie niegdyś Zamojscy i Zborowscy, Górkowie i Tarnowscy.

Było to w sobotę. W dzień ten, jak gdyby w skutek jakiegoś postanowienia, stryj mój musiał zawsze z jakiegokolwiek powodu wygniewać się najszczérzéj; lecz za to nazajutrz i przez cały tydzień, był już najmilszym, słodkim, lipkim choć do rany. Zdarzało się to tak

chronicznie, że nie tylko nie zadawałem sobie przymusu naginania się do jego cudactw sobotnich, ale nawet z zamiarem przekomarzałem się mu i dopomagałem wszelkiemi siłami temu zbawiennemu wydzielaniu się żółci, po czém zawsze, daleko jaśniéj świeciło słońce nad naszym *Tolinem*. Tą jednak razą stryj tak niespodzianie uciął rozmowę, tak mało okazał téj skwapliwości, z jaką nałogowi kłótnicy lubią korzystać z każdego powiewu poddmuchującego *pożar wojny*, (używamy tu przyjętego terminu historycznego) i tak nagle odszedł do swojego pokoju, nie zawoławszy nawet za sobą nieodstępnego *Medora*, że osądziłem za obowiązek, uciec się na ten raz, w sposobie wyjątku, do pokory, i iść w przeprosiny. Przeczekawszy więc chwil kilka, nimby gniew odległ nieco, zbliżyłem się pocichu do stryjowskiego pokoju i zanóciłem pod drzwiami tę śliczną, komuż nieznaną balladę:

„Runęły w gruzach Maurów posady.”

Służyła mi ona, w naszych domowych wojnach, za prawdziwą *pieśń pokoju*. Stryj lubił ją niezmiernie, ale choć mi ją często kazał sobie powtarzać, sam w żaden sposób nie mógł nigdy przypomnieć ani piérwszych jéj słów, ani nóty.

Byłem niemal pewnym, że na takie zaklęcie stryj mój nie wytrzyma, i że wkrótce usłyszę odbite stentorowskim wtórem: *runęły;* gdy wtém rozległ się wystrzał pistoletowy, i kula warknęła mi o parę calów nad uchem.

— Pudło! kochany stryju! — zawołałem głosem niezupełnie czystym i przysłoniwszy się na wszelki

przypadek do węgła.

Odpowiedzi nie było, ale dał się słyszeć wystrzał powtórny, potem trzeci i czwarty; kule jednak nie wylatywały już za drzwi. Domyślałem się, że stryj mój spędza cholerę na jakimkolwiek nieszczęśliwym tuzie żołędnym, z których często lubił i umiał wysadzać oka; ale niezręczność, z jaką przy piérwszym wystrzale tylko co nie pozbawił mię ucha, zdała mi się nie do wytłómaczenia. Nie mogło być inaczéj, jak tylko, że pistolet wypalił wprzódy, nim został wymierzonym.

Gdy ucichły strzały i dały się słyszeć wielkie liczone kroki (bo stryj mój w rzeczy saméj miał zwyczaj liczyć je, ilekroć przechadzał się sam jeden po pokoju), rzekłem zlekka drzwi uchylając:

— Bardzo przepraszam, kochany stryju, żeś mnie nie zastrzelił; kula jednak szepnęła mi bardzo blizko koło ucha. —

— Byłoby mniéj jednym....

— Synowcem! — podchwyciłem, czując jak wiele zależało od pośpiechu.

— Ten synowiec nie jest już moim. —

— Tém większa byłaby odpowiedzialność, kochany stryju, zastrzelić cudzego synowca. —

— Idź-że mi precz z oczu, mój mosanie, jeśli nie chcesz, abym cię tu doprawdy zostawił bez uszu! —

— Ale co widzę! Ha! ha! kula na kuli! Ot to mi to! —

— A u nas tak! —

— Z których-że to pistoletów? kochany stryju! —

— Oba razy z Rejtanowskich. —

— Lecz jak to stać się mogło, że piérwsza kula tylko co mię nie musnęła za drzwiami? —

— Nie dałbyś wiary, mój mosanie, i ja sam teraz bez śmiechu pomyśleć nie mogę — tak mi ręce drżały, gdym wyszedł od ciebie i brał się tu za pistolety, jak owemu Anglikowi, o którym nie bez tego, żebym ci kiedyś nie opowiadał. —

— Nie, nie przypominam sobie, kochany stryju! —

— Czyż doprawdy? posłuchaj tylko, mój mosanie! To nic osobliwszego! Spory już temu kawał czasu, do dworu Księcia Karola Radziwiłła, *panie kochanku*, przywałęsał się był, niewiedzieć skąd i niewiedzieć jak, jakiś cienki, wymokły, wyporterowany, wydżynowany *Sir Smook*, rodowity Anglik, i do tego jeszcze koniuszy *Esquire*, jak wszyscy Anglicy. Bo stąd to, mówiąc nawiasem, trzeba sobie tłómaczyć piękność i dobroć koni angielskich, że w Anglii, na jednego konia, liczy się, mój mosanie, przynajmniej pięciu koniuszych. — Ten tedy Pan Smook, koniuszy — o czémże miałem mówić?... a!! — przyszedł do niesłychanéj łaski u Księcia Karola przez to jedno, że na samym wstępie okrył hańbą, jak worem, wszystkich strzelców książęcych bialskich i nieświéżskich. Bo co to jest, wyobraź sobie, mój mosanie, piętnaście razy, strzał w strzał, ubić kulą w lot jaskółkę — i *notabene* z pistoletu. — No i cóż, panie kochanku, moi zieloni panowie! — mówił Książę do swoich zawołanych nieświéżskich strzelców — co z tego będzie? Chyba kupimy sobie arkusz papieru i zaczniemy nanowo strzelać do celu: bo przyzostaliśmy od naszego gościa, panie kochanku, jak Święty Michał od

Nieświéża! — Gruchnęło natychmiast echo dokoła o tym najosobliwszym Panu Smook'u: ho choć owych czasów po naszych szlacheckich domach czytywano sobie tylko przeszłoroczne gazety, i chodzono o zakład, czy wezmą Rossijanie Oczakow, wtedy, gdy już klucze od tego miasta były w Petersburgu, ztémwszystkiém o dobrym strzelcu, jeśli się gdzie jaki pojawił, wiedziano prędko, mój mosanie, drogą przyjacielskiéj *kursorii*. Trzebaż było, żebym ja wtedy bawił właśnie w *Kodniu*, niedaleko *Białéj*, a to z następującéj przyczyny. — Nieboszczyk twój ojciec, a mój starszy pan brat — Panie świeć jego duszy — konsystując z regimentem około Kodnia, nieproszony ni dziękowany ode mnie, wyswatał mi był, mój mosanie, pannę, i tak żwawo, po regimentarsku, poprowadził rzeczy, że mnie samemu pozostawało już tylko pojechać, podobać się i stanąć na kobiercu. Jakoż szanując święcie słowo i wolą starszego brata, jak ojcowskie, pojechałem, i od piérwszego spójrzenia... — Ale po co zaś wam trzpiotóm, sowizdrzałóm, słyszeć o tém, jak kochano za naszych czasów? —

— A toż znowu czemu? mój stryju! Kochano zapewne tak, jak teraz, z całego serca. —

— Z której-że przecie strony nosicie to serce, podług najnowszéj mody? —

— Podług anatomii, powinno być z lewéj. —

— Dobrześ, szczérze powiedział, mój mosanie! W rzeczy saméj bez anatomii nie wiedzielibyście dziś o tém. I kto wié, czy nie przyjdzie mi jeszcze dożyć, że w Londynie lub w Paryżu naznaczą uczoną ekspedyciją dla odkrycia:

czy też od dzisiejszego pokolenia nie wywędrowało serce gdziekolwiek sobie do *Owajhi* lub do *Nowéj Zelandii?* —

— Otoż, kochany stryju, stanęliśmy na tém, jakeś raczył zakochać się od piérwszego spójrzenia, i to nie po dzisiejszemu, w jakiejś tam, zapewne już nieboszczce — pannie. —

— Wara mi, mój mosanie! Posłałbym trupem każdego, ktoby jéj, w mojéj obecności, śmiał ująć za życia; a teraz, gdy już BÓG powołał ją do siebie, trzech śmierci dla podobnego zuchwalca miałbym zamało. —

— I ten, kto tak kochał swoję narzeczoną, ma serce nie przebaczyć równéj-że skłonności! —

— Ona nie była nigdy moją narzeczoną! —

— Tém bardziéj, kochany stryju! a moja Antosia ma ode mnie przysięgę. —

— Co mi tam zawsze wtrącasz cóś dla zmylenia z tępu! Ale no! na czém-żeśmy się zastanowili? —

— Na Antosi! drogi stryju! —

— Co? cha! cha! cha! — Nie! nie to jest! Zaraz! — Opowiadałem ci, zda mi się, mój mosanie, że w czasie, gdy ten sowizdrzał, Smook, pojawił się na dworze Radziwiłłowskim, bawiłem właśnie w Kodniu, ze zbiegu różnych okoliczności. —

— Tak jest, kochany stryju, przybyłeś właśnie wtedy do Kodnia, dla poślubienia osoby cudnéj, doskonałéj piękności. —

— Dobrześ, święcie powiedział! Dodaj tylko, mój mosanie, żem jéj nie poślubił, gdyż nie była ona dla mnie przeznaczoną. Źle jednak mówię: ona była, musiała być dla

mnie przeznaczoną: bo w przeciwnym razie, nie powinienem-że był dotąd o niéj zapomnieć, ja stary, blizko siedmdziesięcioletni! — ja, którym zapomniał szesnastu ran, pochował ojca, matko, brata i tylu moich rówieników, przyjaciół, tylu dobrych ludzi, jacy nie dla mnie już teraz rodzą się i żyją na świecie. O, tak! ona była, musiała być — jest dla mnie przeznaczoną, kiedy jéj obraz jeden tylko ocalał w mojej pamięci, świéży, jasny, jakbym ją widział wczora, jakbym miał ujrzeć jutro. — To jutro!.. O, BÓG moim świadkiem, żem niepodobny zgoła do tych starych, dla których śmierć nie ma nic miłego! —

— Drogi mój stryju! dozwól ucałować swe ręce. Takie uczucia, takie wyrazy w siedmdziesięciu latach! I jam mógł powątpiewać o twojém sercu! —

— Nie przerywaj mi! Wreście dziękuję ci, żeś mi przerwał. Dziwnie zapewne brzmieć muszą podobne wyrazy w moich ustach, jak dziwnie odbijałaby mi róża, jeślibym ją przyśpilił do piersi. A jednak w kim nie ostygła bojaźń Boża, w tym nie stygnie i serce do zgonu. — Ale inną może razą opowiém ci o nieszczęściu, które mię przyprawiło o ten stan wdowi na całe życie. Teraz wracam do drobnostki, o któréj ci zacząłem. — Doszły mię głosy o Angliku wtedy, gdy wszystko na świecie było mi czarne i niemiłe. Niewielebym zapewne zwrócił uwagi i na to, że ktoś tam zręcznie zabija ptaszęta, jeśliby nie szczególny powód taki. — W liczbie dworzan Księcia Karola znajdował się w Białéj mój stryjeczno-rodzony brat, Tomek, żywy i bardzo ode mnie lubiony dzieciuch. W parę cóś tygodni po przyjeździe Smook’a, potrzeba było, że

Tomek jakoś tam przeszedł mu drogę, czy może tylko przeszkodził mu milczeć, co dla Anglika aż nadto dostateczną jest przyczyną do pojedynku, i Smook w rzeczy saméj tegoż dnia przysłał mu swój *Cartel*. Biedny Tomek, poradziwszy się szesnastoletniéj odwagi i mając przed oczyma przykład jaskółek, niewiele myśląc, dopadł pocichu konia i oparł się aż we Lwowie. Książę Karol, dowiedziawszy się o tém, kazał mu posłać przez umyślnego pachołka strzelbeczkę z pióra i garniec kartofli; dworzanie złorzeczyli tchórzostwu swojego kamrata, piorunowali, przeklinali Anglika, i mrucząc obchodzili go jednak, a Sir Smook w dzień naznaczony ostrzelał na cztéry rogi plac pojedynku, i zaczął milczeć jeszcze dumniéj, jeszcze gęściéj niż wprzódy. Ach! mój mosanie! rozumiałem, że ze skóry wyskoczę, gdy mię ktoś piérwszy oparzył tą wiadomością. Wstyd mi się zrobiło nie tylko za Tomka, ale i za cały dwór Radziwiłłowski. Więc nie tracąc chwili, nie mówiąc ni słowa nikomu, przybrałem konia i w kilka godzin ujrzałem się pod Białą. Było to, jak dziś pamiętam, wieczorem około trzech kwadransów na siódmą, w maju, kiedy powietrze tak czyste, wonne, słodkie, świat taki ponętny, tak zachęcający do życia; a jam pędził, mój mosanie, na łeb na szyję na śmierć niezawodną: bo podług wszelkich praw, piérwszy strzał należał Anglikowi. Gdy jednak niéma wyroku Boskiego, choćbyś gonił dwadzieścia śmierci razem, wszystkie one uciekać przed tobą będą. Miałem wtedy piérwszy jeszcze dowód téj świętéj prawdy; lecz potém nie dwadzieścia może razy ponawiał się mi on w różnych *batalijach*, gdzie również nadaremnie, choć

szczérze, śmierci szukałem. Stanąwszy przed pałacem, nie dowiedziałem się nawet czy w domu Książę; zapytałem tylko o mieszkanie Smook'a, i poszedłem prosto do jego *apartamentu*. Wchodzę, i jak na toż, zastaję, mój mosanie, Księcia Karola grającego w szachy z Anglikiem. Na szczęście, Książę nie przypomniał mnie sobie od razu; co widząc, przyszło mi też na myśl udać, że go biorę za kogo innego. Bez wszelkich więc wstępów, ogródek, ukłonów, rzekłem najspokojniéj, podchodząc do stolika: — Bardzo przepraszam Panów moich, że przerwę im na chwilę grę tak piękną i zajmującą; ale powiedziano mi, że zastanę tu Pana Koniuszego Smook. — Ja nim jestem, panie kochanku! — odezwał się powstając Książę Karol. — Więc chciéj Pan przyjąć ode mnie wyzwanie. — Dobrze jest, panie kochanku, ale nieźle-by też było wiedzieć, z jakiej-to, panie kochanku, racii? — A z téj, Mości Panie — odpowiedziałem, okazując ciągle jakobym nie znał Księcia — że WPan, będąc cudzoziemcem i doznając gościnności na dworze naszego miłościwego Księcia Wojewody, nie powinieneś śmieć tu szarzać i podawać w poniewierkę tych słów: *panie kochanku!* na samo wspomnienie których drżą wszyscy nieprzyjaciele imienia Radziwiłłów. — BÓG zapłać, panie kochanku, za tę przyjaźń dla domu Radziwiłłów — rzekł Książę, ściskając mię ze zwykłą mu serdeczną rubasznością. — Kiedy tak, to wybacz-że już, panie kochanku, że nie będziemy z sobą pojedynkowali; ale masz mię za to wiecznym swoim sekundantem. — Więc miałbym szczęście stać w obliczu naszego miłościwego Księcia Wojewody? — rzekłem, ujmując go za kolano.

Książę odpowiedział mi na to raz jeszcze swoim olbrzymim uściskiem, podniósł mię i najuprzejmiéj sadzał obok siebie. — Nie, nie, Mości Książę! — ozwałem się ośmielony jego dobrocią — nie racz mi Wasza Książęca Mość robić tego zaszczytu; dozwól tylko biednemu szlachcicowi jąć się na ten raz z góry Jego Pańskiego słowa, i prosić Waszą Książęcą Mość za sekundanta do naszego pojedynku z Panem Smook, jeśli się nie mylę, że go tu zastaję, i że zastaję w nim człowieka z honorem. — Nie omyliłeś się, panie kochanku, we wszystkich trzech przypuszczeniach: masz przed sobą do usług swoich *Smoka* (choćby go właściwiéj było nazwać *Drakonem*) i Radziwiłła; tuszę sobie, że oba oni dostoją ci placu; ale zawsze przecież godzi się zapytać, z jakiéj przyczyny, panie kochanku, chcesz rzucić *gałkę Smokowi*, który w żadnéj linii nie pochodzi od *Wawelskiego?* — Na poderędziu nie mam, Mości Książę, żadnéj lepszéj przyczyny do wyjawienia, nad tę: doszły mię głosy, że P. Smook strzela *arte* z pistoletu, ja też strzelam nieźle: przybyłem więc z tém umyślnie, abyśmy poszli z sobą cel na cel. Jeśli P. Smook znajdzie tę przyczynę niedostateczną, więc za pozwoleniem Waszéj Książęcéj Mości, wystrzelę cztérykroć na pałacowym dziedzińcu, i odjadę, zostawując Panu Smook gotową już temę do dyssertacii: o angielskim honorze. — Książę Karol uśmiechnął się, wzruszył ramionami i oddał po francuzku moje słowa Anglikowi. — *Very well!* — mruknął Smook dość obojętnie — miejsce i godzina? — Ta salka trzyma z górą dwadzieścia kroków — odpowiedziałem — jest to właśnie jak na mierny strzał pistoletowy; jeśli więc Książę

Pan raczy na to zezwolić, siądziemy tu sobie zaraz na dwóch przeciwnych progach, i mam nadzieję, że nie popsujemy ani gobelinów, ani obicia. — Co do gospodarza i sekundanta, panie kochanku, zgoda! — A więc teraz, za łaską Waszéj Książęcéj Mości, Pana mojego miłościwego, mogę już sobie usiąść — i domawiając tych słów, podszedłem ku drzwiom i usiadłem spokojnie na środku progu, z założonemi na krzyż rękami. Anglik powiódł po mnie ponurém okiem, nie zdradził się niczém; dostrzegłem tylko, że przymrugał kilkakrotnie raz po raz, gdyśmy się spotykali oko w oko. — Czekam więc Pana! — rzekłem takim tonem, jak gdybym siedział nad szachownicą i szło tylko o piérwsze wyjechanie. Smook ruszył się leniwie, dobył ze szkatułki pistoletu, i usiadłszy w milczeniu na przeciwległym progu, to ustawiał pistolet do moich oczu, piersi, głowy, to znowu powoli go opuszczał. — Czekam — powtórzyłem z lekkim uśmiechem; bo zmiarkowałem już zaraz, że kuglarstwo i odwaga nie mogłyby żyć z sobą nawet o miedzę, a nie dopiéroż w parze. Ztémwszystkiém Smook zwlekał jeszcze i oglądał swój pistolet. — Czekam! — odezwałem się po raz trzeci — albo minuta jeszcze, i ja piérwszy wystrzelę! — Książę przetłómaczył moję pogróżkę, i Anglik zaniósł nareście pistolet. Błysnęło, śmierć syknęła mi nad uchem, jak osa; lecz byłem tak poróżniony z życiem, tak kamiennie obojętny, zrospaczony, że nawet nie złożyłem w myśli dziękczynnego hołdu Temu, kto sam jeden tylko śmierć posyła i oddala. Jakieś śmieszne junactwo, jakaś dziecinna ufność w sobie samym całkiem owionęły mi głowę. Powstałem z mojego miejsca,

przeszedłem gdzie Anglik siedział, i potrącając go niemal, rzekłem szyderczo: — Siedziałem twarzą do słońca, i słońce przeszkodziło ci widać, mój Panie, lepiéj wziąć na cel. W waszym mglistym kraju słońce jest tak rzadką rzeczą, że miałbym sobie do wyrzucenia, jeślibym chciał skorzystać z tak błahéj okoliczności; pozwól więc Pan, abym zajął tu jego miejsce, sam zaś przejdź na moje i racz przecię zmierzyć się po ludzku. — Książę opierał się zrazu temu mojemu dziwactwu, odwoływał się do praw pojedynku, radził mi nie żartować, ale Niebu dziękować; widząc jednak, żem jak muł uparty, a Smook, nie pojmując o co chodziło, pobladł jak chusta i usiadł ze drżeniem na mojém miejscu, jak na rusztowaniu, wytłómaczył mu rzecz całą i podał drugi pistolet. Ach! mój mosanie! gdybyś w téj chwili mógł być z nami, zapraszałbym cię już nie na pojedynek, ale na czyste drwiny. Najstarszy pijak z *professii*, powracający do domu i witany z daleka od żony, nie potrafiłby wyrabiać takich esów i gzygzaków, jakie wyrabiał nieszczęśliwy mój Smook, przybierając się do powtórnego strzału. Rzekłbyś, że wszystek dżyn wypity przezeń od lat cztérdziestu, natarł mu teraz na prawą rękę i miota nią, jak fechmistrz rapirem. Choć siedziałem trochę niewygodniéj niż na cenzurowaném, nie mogłem przecież nie śmiać się serdecznie, patrząc na mojego przeciwnika; lecz Książę zanosił się od śmiechu, i powtarzając ustawicznie to po francuzku to po polsku: — Strzelaj-bo już, panie kochanku, poleciwszy się Niebu! — wyelektryzował z Anglika ostatnią iskrę odwagi. Kula, jak można było przewidzieć, osiadła o dobry łokieć od celu, w

uszaku; i Smook tak śmiertelnie uczuł się zawstydzonym, że być może z również obojętném jak i ja na śmierć przygotowaniem, a przynajmniéj z otwartą gębą, oczekiwał teraz z kolei mojego wystrzału. —

— O mój stryju! nie strzelaj, na miłość Boską, do tego nieszczęśliwego Smoka; dość żeś go zmusił do zrzucenia łuski. —

— Gorzkieś dziecko, kiedy mię sądzisz zdolnym do zastrzelenia tchórza; nie zrobiłbym tego, będąc nawet *bezpardonowym huzarem!* — Podszedłem raz jeszcze ku niemu, i nie pastwiąc się już więcéj nad odrętwiałym, zmierzyłem się z piérwszego mojego miejsca w uszak, gdzie utkwiła kula Anglika, i wsadziłem kulę na kulę, jak dzisiaj. Jedź, mój mosanie, do Białéj, a będziesz mógł zobaczyć po-dziś-dzień, czy tak jest, jak mówię? —

— Cóż na to Książę? kochany stryju! —

— Zakochankował mię, mój mosanie, zacałował, i omal nie zapoił na śmierć. —

— A Anglik? —

— Tegoż dnia jeszcze, bez powrotu, wyrejterował się z Białéj. —

— Raczcież mi jeszcze powiedzieć, kochany stryju, tylko szczérze, chyba i na Anglika użyliście tych czarów oczu, którym, jak mówicie, żadna piękność onego czasu oprzeć się nie mogła, że mu tak nie dopisały pistolety. —

— Bez żadnych w świecie czarów. Ot pokazało się potém, mój mosanie, że Anglus, mówiąc pod sekretem, kiepsko strzelał. —

— A jaskółki? —

— Błazeństwo! Odkryło się, że kule rzucał on tylko dla ceremonii do pistoletów, nabijał zaś je zlekka zwilżonym prochem, którym każdą jaskółkę (rozumié się nie na daleką metę) ogłuszyć można, tak, że upadnie, ale też po niejakim czasie i poleci sobie z Bogiem. Frant zamorski, temi swojemi kulami długo durzył on i mroczył starych i szczwanych myśliwych: jak bo też i im, proszę uniżenie, nie mieć tego rozumu, że ugodzona kulą taka drobna ptaszyna, na miazgęby się rozbiła. Ale uważam z twojéj miny, mój mosanie, że nie pojmujesz dokładnie, co to jest strzelać prochem zwilżonym? — Uważ więc dobrze. Biorę naprzykład ten pistolet i nabijam prochem, jak zwyczajnie. Że prochu wsypałem tą razą za mało, to dla tego tylko, że to się robi dla próby. Potém przybijani proch, jak zwyczajnie, kłakiem, ale, jak widzisz, przybijam mocno, żeby przy wystrzale dwa prochy przypadkiem z sobą się nie połączyły. Powiedziałem ci, dwa prochy, ale drugi *preparuje się* już na ten raz inaczéj. Ot patrz, biorę sobie szczyptę prochu, skrapiam go wodą, wsypuję, mój mosanie, do rurki, i, jak widzisz, zleciutka już przybijam drugim kłakiem. A teraz, traf, traf, sprowadzam, mój mosanie, zamek na oba spusty i strzelam. —

— Aj! aj! aj! — stryju! o ja nieszczęśliwy! moje oczy! moje biedne oczy! —

— Ach!! Przez wszystkie rany Zbawiciela! — Adasiu! nie bój się, moje dziécię! to tylko kontuzija! Wody! koni! kto w Boga wierzy! —

Nie będę powtarzał tych przeraźliwych jęków i krzyków, jakieśmy naprzemiany ze stryjem podnosili wniebogłosy, w

chwili tego smutnego wypadku, i nieraz jeszcze potém. Za jednym razem straciłem rzęsy, powieki, najpiękniejszą część, sam kwiat, wyskok, kwintessencją mojego czuba, i znalazłem się jak w otchłani z zapuchłemi hermetycznie oczyma. Proszę sobie wyobrazić stan biednego młodzieńca, zakochanego, narzeczonego, który nie był nigdy powołanym zostać *Miltonem*, *Kozłowem* lub *Tierry'm*, który miał takie czyste, wymówne, błękitne oczy, i nagłe ociemniał, nie mogąc mieć nawet ani téj marnéj, wysoko jednak w podobnych razach cenionéj pociechy, że *sam sobie wysmalił oczy!* Pomyślcie tylko, co to jest nagle utracić ten arcy-cud BOGA, w którym odbijają się wszystkie inne widome Jego dzieła i cuda, który rozszérza dla nas granice bytu i zaludnia świat tylą jestestwy, który na każdym kroku ukazuje nam nowe łaski Twórcy i powaby życia, który często, bez usiłowania z naszéj strony, bez myśli prawie, zniewala nas do najczulszéj wdzięczności ku Niebu, a przez to tak słodko, łatwo, błogo nakłania do wiary, nadziei i miłości: pomyślcie, co to jest utracić nagle rozmiar przestrzeni i czasu, liczyć chwile boleści godzinami, godziny dniami, zrywać się o północy, i nic nie słysząc dokoła, sądzić się opuszczonym, zamkniętym w szpitalu, słyszeć codzień z oburzeniem słodziutkie zapewnienia lekarzy, i ztémwszystkiém pragnąć słyszeć je jak najczęściéj, walczyć ciągle między nadzieją a rospaczą, uważać się ciężarem dla otaczających, znienawidzonym, zdradzonym — od Antosi, i dla braku oczu, płakać tylko sercem — krwawemi łzami!

Stryj mój, o ile był nad wiek swój prędkim, z żywego

srébra ulanym, o tyle z drugiéj strony znowu umiał dochować w siedmdziesięciu latach serce, w prawdziwém znaczeniu wyrazu, dziecinne, braterskie, najczulsze. Jeden tylko instynkt przywiązanéj kobiéty byłby zdolnym stwarzać podobne sposoby do osłodzenia cierpień i ślepoty, jakie wynajdywał dla mnie codzień ten czcigodny starzec. Były to prawda, po większéj części, sposoby obmyślane i odgadywane rozumem, więc obce tego delikatnego wdzięku, uroku, rozmaitości, tego Boskiego daru kojenia i umilania nędz życia, jakim Niebo chciało mieć wyłącznie napełnioném serce kobiéty; ale możnaż nie uszanować i rozumu, gdy on usiłuje pełnić, swoim sposobem, powinność serca? Ktoby mu odmawiał podobnego hołdu, nie chciałby chyba pamiętać, że serce dobréj kobiéty dla tego właśnie tak jest piękném, iż również w wielu razach zamienia dla niéj zimne i długie formuły rozumu. — Dobry mój stryj zdobywał się dla mnie na wszystkie rozrywki pociechy i osłody, jakich nieprzebrana w swych sposobach Opatrzność użyczyła i dla ślepych, jakie na wsi mieć tylko można było. To mi opowiadał on o różnych wypadkach swojego pięknego życia, spędzonego w znacznéj części śród orłów Napoleona, to czytywał powieści i gazety, pomimo słabego już wzroku i wstrętu, dochodzącego aż do złości, jaki przez dziwną w siedmdziesięciu latach *anomaliją*, czuł ku gazetom, to przygrywał na gitarze, nócąc ulubione swoje dumki, to ostawiał mię różami, rezedą, lewkonijami, lakami, etc., sprowadził nawet dość mile brzęczący pozytywek, postawił go pocichu w moim pokoju i zamówił na parę godzin codzień organistę z

sąsiedniego miasteczka, nazgromadzał zewsząd synogarlic, turkawek, słowików, kanarków, nakoniec we dwa tygodnie po moim przypadku, usłużył mi *siurpryzą*, która w swoim rodzaju mogłaby być uważaną za jeszcze zręczniejszą od próby *z prochem zwilżonym*.

Powiedziano mi dnia tego, że stryj, ledwie na świt zaczęło się zajmować, wyjechał gdzieś śpiesznie, że przybrał się staranniéj niż zwykle, i kazał mi oświadczyć, iż nie prędzéj wróci aż wieczorem. Nagły ten i w pewny sposób tajemniczy wyjazd zasmucił mię trochę, bom przywykł już spuszczać się we wszystkiém na oczy stryja, i rozpieszczony nieodstępném jego towarzystwem, nader rzadko uciekałem się do pośrednictwa służących; ale ani się domyślałem prawdziwego celu téj pojazdki.

Koło godziny siódméj wieczorem (było to w Czerwcu) ledwie mi powiedziano, że stryj powrócił, gdy on sam wszedł z pośpiechem do mojego pokoju, jak gdyby się lękał, aby mię kto inny nie uwiadomił o jego powrócie, i przeprosiwszy w kilku słowach za swój tajony wyjazd, oświadczył, że przywiózł z sobą lekarza, po którym spodziewa się wiele, żem powinien być dlań szczególniej powolnym, gdyż jest to bardzo uczony professor, i że chce go natychmiast wprowadzić. Nie czekając potém mojéj odpowiedzi, otworzył drzwi od ościennego pokoju i rzekł głośno:

— Prosimy Pana Dobrodzieja! —

Przez nawyknienie właściwe wszystkim ślepym nie od urodzenia, podniosłem głowę i obróciłem się całą twarzą w tę stronę, skąd drzwi się otwiérały.

— Ach! Jezu mój! wszakże to z niego *monstrum!* — dał się słyszeć głos, któryby może otworzył mi oczy, jeśliby odezwał się innemi słowy — głos Antosi.

Ale i tak zaczęły mi otwierać się oczy — moralnie.

— Więc to nie litość nad mojém cierpieniem, ale przestrach i wstręt na widok nabrzmiałych i opalonych oczu, spowodowały to wykrzyknienie! — pomyśliłem.

I odwracając się ze zwyczajną chorym skwapliwością, rzekłem głucho i z tém usiłowaném szyderstwem, które najwięcéj mnie samego bolało: — Monstrum, dla widzenia którego Pani przybyłaś, nie okazuje się za biletami, i nie życzy sobie wcale ani widzów, ani téj pochwały, że jest doskonale w swoim rodzaju. —

Nastała chwila milczenia. Stryj mój myślał teraz zapewne nad niewczesnością swojego najlepszego zamiaru, a Antosia żałowała może wykrzyknienia, które jéj z ust zleciało; choć rzadka, bardzo rzadka, z saméj chyba litości ulana istota, nie powtórzyłaby, na widok mojéj twarzy, słów Antosi. Prócz oczu, których strata zajmowała mię wyłącznie, nie wiedziałem jeszcze wtedy, bo starano się utaić to przede mną, że całą twarz powlekała mi jedna płomienna plama, mająca zamienić się z czasem w błękitnawe, nakrapiane, i może wieczne już piętna.

Lubo milczenie po dopełnionéj niezręczności bywa często najlepszym z doświadczanych w podobnych razach sposobów, ztémwszystkiém w téj chwili tak mię boleśnie dotykało, tak raniło samo milczenie, sama nawet przytomność — mojéj narzeczonéj, że w tym samym tonie co i wprzódy, prosiłem jéj, aby oszczędziła niemiłego

widoku pięknym swym oczóm i opuściła mię, życząc tylko — jeśli łaska — jak najprędszego zgonu.

— Jabym cię miała opuścić! Komuż to mówisz? — odpowiedziała moja narzeczona jednym przeciągłym, jak gdyby z serca wyrwanym jękiem.

W jęku tym było tyle boleści, tyle téj strasznéj udzielającéj się prawdy — rospaczy, że dobry mój stryj nie mógł powstrzymać się od głośnego płaczu, a jam uczuł téj saméj chwili, jak gdyby jakaś tajemna zasłona rozdarła się w głębi mych piersi, i po raz piérwszy wtedy, głucho wprawdzie, ale słodko, swobodnie, jak gdybym mógł łzy wylewać, zapłakałem.

Ulżona pierś dala przystęp łagodniejszym uczuciom. Najcięższa z ofiar: wyrzeczenie się samego siebie, wyrzeczenie się praw, jakie mieć mogłem, do Antosi, sam nawet zgon umilony pewnością jéj przywiązania, zdały mi się teraz tak łatwemi, żem miał siły odezwać się do mojéj narzeczonéj, smutnie ale ze spokojnością umierającego suchotnika:

— Niech ci Bóg nagrodzi — i nagrodzi pewnie twe przywiązanie. Dzięki ci, moja luba, że nie chciałaś odstąpić, za piérwszém spójrzeniem, nieszczęśliwego kaleki; ma on przynajmniéj tę pociechę, że może ci zwrócić twą przysięgę w sposobie ofiary, i myśleć, że zrobił ci po raz ostatni rzecz miłą — że nabył przez to prawa choć do tkliwego twojego wspomnienia. Ale byłbym niegodnym samolubem, szalonym samolubem, jeślibym chciał przyjąć twoje poświęcenie się, lub śmiał odwoływać się teraz do naszéj przysięgi. Tyś ją dała innemu człowiekowi, jakim ja już nie

jestem, jakim nigdy nie będę! —

— Ty jesteś, będziesz dla mnie zawsze moim najdroższym, jedynym Adamem! Niech mię BÓG sądzi w dniu ostatnim, jeśli kiedykolwiek w życiu —

— Ach! nie kończ! nie wzywaj BOGA, mój aniele! —

— O, Wzywam GO! wzywam najświętszéj Jego zemsty, jeśli kiedykolwiek, choć na chwilę, odmienię się dla ciebie! —

— Nie, moja najdroższa! ani Niebo, ani twój biedny narzeczony, nie może przyjąć podobnéj przysięgi. Serce kobiéty — i nie saméj tylko kobiéty — serce każdego człowieka, w najpiękniejszych swych chwilach, zdolném jest tylko do krótkiego poświęcenia się. Wielu ludzi z ochotą zapewne podjęłoby śmierć dla miłych osób; ale złączyć swój los i życie z pół-umarłym, zaprzysiądz wieczne przywiązanie, idąc za natchnieniem saméj tylko litości, w chwilowém uniesieniu wyrzec się szczęścia na zawsze, taka ofiara nie jest ani w mocy, ani w rozporządzeniu człowieka: bo nie jest nam danem ani przewidzieć, ani zabronić sobie jutrzejszych myśli i pragnień. —

— Pojmuję cię, mój Adamie, ale cierpienia i samotność ostudziły ci serce. Kto tak zimno zdoła przypuszczać i sądzić o miłéj mu niegdyś osobie, ten albo się jéj już wyrzekł, albo wyrzec się byłby zdolnym. —

— Tak jest, jam wyrzekł się ciebie — i wszelkiej nadziei. —

— A jeśliby, Adamie, ta słaba, ułomna istota, którą z góry obwiniasz o możność znienawidzenia cię, jakby o sam

uczynek — dziś jeszcze, w téj saméj chwili, pozbawiła siebie wzroku — jedynie dla porównania się z tobą we wszystkiém? —

— O mój aniele! nie przychodź mię doświadczać, nie przywodź mię do rospaezy, przez litość nad nieszczęśliwym, nie wspominaj mu teraz o swoich doskonałościach. Jeżeli kiedy, to teraz okaż mi się słabą, płochą, i tylko dobrém sercem chwilowie poruszaną istotą — jak są wszystkie kobiéty — a będzie mi znośniejszą strata życia i szczęścia, nieporównanego szczęścia posiadania ciebie! —

— Biorę BOGA za świadka, że cierpienie czyni cię niesprawiedliwym, Adamie! Ale ja ci przebaczam, jak choremu dziecku, jak bratu, jak mojemu narzeczonemu. Nie myśl jednak, abyś mię mógł oddalić od siebie. Nie z tém tu przybyłam, aby zapłakać nad tobą, oświadczyć ci życzenie zdrowia i odebrać na powrót moję przysięgę. Wymodliłam u moich drogich rodziców, że mi dozwolili zostać przy tobie, i zostanę tu aż do twojego wyzdrowienia, jak siostra, jak sługa. Gdy ci BÓG otworzy oczy i będziesz mógł czytać na mojéj twarzy, sprawdzić czylim ta sama lub nie ta już dla ciebie, wtedy powiész mi naukę o zmienności kobiéty i odtrącisz od siebie, jeślibym mieć mogła tyle obłudy, abym nie kochając cię, garnęła się jeszcze do twojego serca. A teraz dosyć tych jęków i téj jakiejś wybolałéj filozofii, którą będziesz mię mógł uczęstować nieraz, gdy ci się na sen zbierać nie będzie. Nie słuchając daléj, wstępuję w moje obowiązki, i za twojém pozwoleniem, mój kochany, osmalony Panie Adamie, idę ci nagotować przymoczki. —

Ostatnie słowa powiedziane były takim wesołym, zwyczajnym tonem mojéj dawnéj, z saméj, zda się, pustoty złożonéj Antosi, że rozczuliły mię one więcéj jeszcze, niżeli jéj uroczysta przysięga, któréj słuchając, drżałem naprzemiany, to z radości, to z obawy krzywoprzysięstwa.

Trzymając się oburącz za serce, płakałem ciągle, podobnie jak głuchoniemy, jakimś tłumionym, dzikim, przeraźliwym płaczem; a jednak była to tak słodka, uroczna w życiu mém chwila, jakiéj ani przedtem nigdy, ani potém już nie zaznałem.

Stryj mój niemniéj może ode mnie, tylko spokojniéj, był szczęśliwy.

— Co to za serce! co to za dziewczyna! — wołał on raz-po-raz. — BOŻE mi dopomoż, powinienem iść boso aż do ziemi świętéj, żem się dozwolił tak przeciw niéj uprzedzić! Cóż bo za źli ludzie są, mój mosanie, na świecie! Jak ci winszuję z duszy, mój Panie Adamie! I imieniem twojego ojca i matki — niech im da BÓG światło wiekuiste! — błogosławię was z całego serca! —

W téj chwili weszła Antosia, pojmała ostatnie słowa stryja i zawołała wesoło:

— A więc za błogosławieństwem Półkownika, (stryj mój miał ten stopień), jesteśmy z sobą, Adamie, tak dobrze jakby *po cywilnym ślubie*; i teraz, choćbyś mię nawet odpędzał, nie możemy już się rozejść bez formalnego rozwodu. A nie tak go łatwo z mojéj strony otrzymasz. —

— Dośćby mi było — odpowiedziałem ośmielony wesołością mojéj narzeczonéj — nazwać cię tylko z przymileniem: *moja żono!* a bez rozwodu i prędko już i

łatwobyś uciekła od swojego ślepego małżonka. —

— Nie zgadłeś wcale. Właśnie że-bym nie uciekała. Dostać ślepego męża, jest to taki skarb, jakiego mi zawsze życzy moja ciotka. —

— Brawo! mój mosanie! brawo! Moja śliczna Panno Antonino! pozwól się ucałować za tę kochaną otwartość! —

— O nie, nie mogę za nic, Panie Półkowniku! W klasztorze, do którego byłam oddawaną, ślubowałam *na regułę*, że nie pocałuję nigdy żadnego z dymissijonowanych wojskowych — chyba w rękę. A do tego muszę pójść zaraz i napisać do kochanéj mamy, w jakim kwaśno-gorzkim sosie zastałam mojego pana narzeczonego, jakeśmy się z nim wykłócili, popłakali, i nareście zwyczajnym krokiem od wielkiéj kłótni do wielkiéj zgody, wzięliśmy sobie ślub cywilny, za łaską i błogosławieństwem Pana Półkownika. —

Kończąc te słowa, zanóciła jakąś pół-szczęśliwą, pół-smutną piosenkę, nie troszcząc się ani o słowa, ani o ich nótę, jak gdyby w rzeczy saméj była już nowo-ślubną, i wybiegła.

Tekst jest ***[własnością publiczną](#)*** *(**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: [Placyd Jankowski](#), [Józef Ignacy Kraszewski](#).*

II.

WYSTAWCIE sobie teraz i szczęśliwe i biedne położenie moje. Przy mnie moja najdroższa Antosia, ale niewidzialna dla mnie; ona, przed którą radbymbym się pokazać dawniéj najwdzięczniejszym, najmilszym z ludzi, codzienny świadek słabości, która dla kochającéj mnie nawet tak okropnie szpeciła. To też, dopókim nie ozdrawiał, wpółroskoszne do niéj zbliżenie, wpół znowu było nieznośną męczarnią. Być przy niéj, ale być jak starzec schorzały, nieruchomy, i z wyobrażeniem swego kalectwa, z wyobrażeniem, że ta twarz pokaleczona mogła jéj sprawiać odrazę! Nieraz myślałem sobie, że poczciwy stryj, chcąc mi się wypłacić za nierozważny strzał, okazał niewielką znajomość serca ludzkiego, sprowadzając mi na pocieszycielkę Antosię. Ale już piérwsze lody były przebite, moja narzeczona oswoiła się z siną i zeszpeconą twarzą przyszłego męża; i ja też wreście począłem pochlebiać sobie, że codzień przystojniejszy i znośniejszy się staję. Jakoż w końcu, dzięki staraniom Antosi, która za piérwszy swój wykrzyknik zapłacić mi chciała troskliwością, czułością, wylaniem się dla mnie, zapomniałem zupełnie o szpetocie, którąbym był w inszém położeniu za nic poczytał. Ale zakochanemu skaleczéć, skaleczéć na twarzy, nie być nią w stanie okazać uczuć,

przymilić się, uwdzięczyć!

Mówcie sobie co chcecie o miłości duchownéj, niepatrzącéj twarzy, tylko serca. Brednie to są tych, co ludzi papierowych znali, nie żywych. Ciało układa się do duszy, maluje ją i jest z nią w harmonii, zgodnie, jak poczciwy mąż z dobrą żoną. A dla cnót najwyśmienitszych nikt się jeszcze w zgrzybiałéj babie nie zakochał. Rzecz dowiedziona, że *fizys* nic przynajmniéj nie psuje.

Pocieszyła też mnie mocno Antosia, gdy piérwszy raz powiedziała, że wcale już zaczynam być do człowieka podobny i przypominam jéj dawnego kochanka.

Ona, swoją pustotą, jak mogła biedna starała się zatrzeć pamięć piérwszéj sceny, jak mogła pocieszała ślepego.

O! nigdy nie zapomnę tych kilku miesięcy przebytych z moją Antosią. Od piérwszego do ostatniego dnia jéj pobytu jakież to odmiany, ile to serdecznych dramatów, odegranych w głębi duszy, ile walk, ile myśli mną poruszało! Jakie to było życie jednostajne, a pełne odmian, których nie dostrzegłeś po wierzchu!

Stryj, któren teraz rad był stworzyć mi niebo na ziemi, i tak bolał nad przypadkiem, którym mnie o mało nie pozbawi! oczu, pojął doskonale, że między mną a Antosią, trzeci był zupełnie zbytecznym. Zostawiwszy więc na nią staranie o mnie, często się bardzo oddalał, aby nas samych zostawić. Biedak, nudził się w kącie, ale nie chciał przerywać nam najsłodszych godzin. Często podsłuchiwał pode drzwiami, i wyszpiegowawszy głośniejszą rozmowę, śmiechy wesołe, nie mogąc się powstrzymać, wchodził do nas; potém, gdy się opamiętał, że mu wyjść należało, to

długo trzymał za klamkę, patrzał, wahał się, ociągał, nim nareście wyszedł.

W kilka dni po opisanych wypadkach, dzień był tak ciepły i piękny, wieczór tak wiosną przesiękły, że mi dozwolono usiąść w otwartém oknie, przez które ciepły wiatr przynosił wonię rozkwitłych bzów i róż pod oknem, głos wesoły słowika i szmer cichy gałązek. O! jakże siedząc przy Antosi czułem tę wiosnę głęboko, jak się we mnie wszystko burzyło na uczucie cudownego obrazu, któregom się tylko domyślać musiał, będąc pozbawiony wzroku. Malujący się żywiéj niż kiedykolwiek na duszy mojéj bez pomocy oczu obraz, napawał mnie jakąś tęsknotą. Antosia była wesoła; napróżnom wzdychał, próżno kręciłem się w mojém kole smutku, do którego ją wprowadzić chciałem; ona świergotała jak słowik, i nie po człowieczemu, ale po ptaszęciemu czuła wiosnę, wesołością, życiem, szczęściem. Nie chciała się do mojego uczucia nastroić; napróżnom ją westchnieniami buntował, uściskiem białéj ręki chciał zmięszać; pozostała wesolutką, roztrzepaną. Mnie już na myśl przychodziło, że może, patrząc na tę twarz siną i czerwoną, nie podobna jéj było przenieść się w świat ideałów, gdy ja z wyobrażeniem jéj anielskiego oblicza, krążyłem jak z talizmanem w czarodziejskiéj krainie.

— Niepojęta rzecz — powiedziałem do niéj — przy tobie, a tak mi smutno! —

— Cóż dziwnego? — odrzekła mi pusto. — Mężczyzna zawsze smutny, gdy wszystko ma czego pożądał. Bo powiedz czego ci braknie? Każesz mi pójść precz może? —

Wstrzymałem ją za rękę i westchnąłem.

— Do kogo to czułe westchnienie? — spytała.

— Do wiosny, do świata, którego widzieć nie mogę. Jeszcze mi się świat przymila, obsyła mnie wonią wiosenną, oblewa śpiewem słowika, ciepłém powietrzem; jak zalotnica zamężna, która chce, żeby po niéj płakano, iż jéj posiadać nie można. —

— Doskonałe porównanie — śmiejąc się zawołała Antosia — za które w imieniu płci mojéj dziękuję! —

Chciała mnie rozweselić, rozruszać, wywołać głośny i pusty śmiech z mojéj piersi, dać mi zapomnieć przykre położenie; napróżno — byłem jak kamień na jéj wesołość, a ona jak kamień na mój smutek. Walczyliśmy z sobą, kto kogo za sobą pociągnie; a żadne z nas ustąpić nie chciało: ona, może dla tego, aby mi nie dać się smucić, nie pojmując roskoszy takiego smutku; ja, bom wyrachował lub przeczuł, że wesołość z kobiétą do niczego nie prowadzi.

Trzymałem jéj rękę w mojém ręku, obróconą twarz miałem ku niéj, jakbym ślepemi oczyma chciał ją zobaczyć i wzdychałem nieustannie.

— Dostaniesz w końcu kaszlu — zawołała Antosia — tak męcząc te nieszczęśliwe piersi, którym każesz mówić koniecznie, iż ci tęskno, gdy lepiejby było pośmiać się ze mną i zapomnieć o jakichś tam urojonych smutkach. —

— Urojonych! — zawołałem — gdybyż urojonych! Kto inny płakałby gorzkiemi łzami. —

— I zaszkodziłoby ci na oczy, których wyleczenia ja, jako twoja przyszła żona, wprawdzie niebardzo potrzebuję; ale, ale — dodała — niechby zresztą wyleczyły się, bo-by mię moje przyjaciółki prześladowały ślepym mężem. A

doprawdy gdybym chciała, tobym i lepszego dostała! —

— Co za niewdzięczny! — szeptała pocichu. — Ja go, jak jaka z historii rzymskiéj niewiasta, pielęgnuję, skaczę koło niego; on smutny, zamyślony, jakbym mu była ciężarem! —

Ucałowałem jéj rękę w milczeniu, nie mogłem się do wesołości przymusić.

— Słyszysz ty poczciwego słowika? — szczebiotała Antosia. — To prawdziwy wzór kochanków i mężów. Jak on sobie gardło rozdziera, żeby swéj ulubionéj nudne siedzenie na gniazdku uprzyjemnić! Ale słowik, to staropolski małżonek jeszcze; teraz zupełnie świat przewrócony! My, biedne kobiéty, tylko że nie w haremach, ale w ciężkiéj niewoli, musimy się zmagać dla naszych panów! —

Słuchałem jéj miłego głosu, ale myślą byłem gdzieindziéj. Dotknięcie jéj ręki i pochylenie głowy na ramie, którego dotknąłem, dreszczem mnie przejęło. Ona się usunęła trochę i szczebiotała znowu:

— Jakkolwiek jestem twoją żoną, ale póki nie odzyskasz wzroku, nie mogę ci dozwolić dotknąć chyba rękę moję; mógłbyś się potém skarżyć na oszukaństwo. Trzeba abyś się dobrze rozpatrzył.

— Czyliż cię nie znam, czyliż cię nie widzę — zawołałem — czyliżeś mi zawsze nie przytomna? Potrzebujęż cię znać lepiéj? mój aniele! — I przytrzymałem ją za rękę, usiłując pocałować w ramie, którego dotykałem. Wyrwała mi się jak ptaszek z ręku i pyrchnęła w pokoj; jam został.

— Cha! cha! — śmiała się do mnie zbliżając i odbiegając — nie odpędzajże mnie od siebie, bo na ciuciubabce źle wyjdziesz i nigdy mnie złapać nie potrafisz. —

— Złapię cię niezawodnie — rzekłem wstając, gdy wtém uczułem jak mi dwie jéj rączki spoczęły na ramionach i przytrzymały. —

— Siedź i nie rusz się; nie żartuj i nie swywol pókiś chory; już lepiéj wzdychaj sobie, jeśli ci się podoba; to ci może mniéj zaszkodzić. —

Właśnie w téj chwili wszedł stryj.

— A! kochanego Półkownika! — zawołała Antosia. — Chwała Bogu, że przyszedłeś, bo już sobie rady z moim ślepym małżonkiem dać nie mogłam. Naprzód wzdychał tak zapamiętale, że się otwarte okno poruszało jego westchnieniami — ale ja nie; potém chciał grać w ciuciubabkę ze mną. Boję się, żeby nie miał gorączki. —

— Niepotrzebnym ja tu na ratunek — odpowiedział stryj. — Dacie Ichmość sobie radę i beze mnie; a ten Jegomość podobno lepiéj za jednym palcem WPanny, niż za całą moją pójdzie ręką. —

— Wieczór prześliczny — dodał, chciał daléj mówić, ale przypomniawszy sobie, że chwali go przed ślepym, nie chcąc mnie drażnić, umilkł; może też i Antosia mu znak dała.

— Pomoż mi, Półkowniku, przynajmniéj go rozweselić; uparł się być smutnym — zawołała po chwili — a choć powiadają, że się zły duch czasem posługuje kobiétą w zdesperowanych razach, jabym się chciała złym duchem

posłużyć teraz, bo nic dokazać nie mogę. Smutny i smutny! —

— Nie wywołuj wilka z lasu — rzekł stryj wpół serijo, wpół poważnie — gotow się djabeł pokazać. —

— Bardzom go ciekawa zobaczyć — zawołała Antosia — jak też on wygląda? Trudno uwierzyć tym, co go malują, bo podobno nigdy go nie widzieli także; a ja sobie wyobrażam, że musi być wcale przystojny. Nawet rożki na głowie mogłyby go niebardzo szpecić, gdyby nosił czub do góry. —

Gdy to mówiła, zabrzęczało cóś przed gankiem, zaturkotało — jam się obrócił.

— Wyprorokowałaś złego ducha — powiedziałem. — Któś jedzie. —

Antosia śmiać się zaczęła. — W istocie — rzekła — któś przyjechał. —

Stryj pobiegł do okna. — Uczciwa bryczka, cztéry jak kruki konie, wąsaty i chmurny woźnica na koźle, ale nie znam tego jegomości, który wysiada. Młody człowiek! —

Gdy to mówi, otwierają się drzwi i wchodzi któś.

— Pan Adam — zawołał na progu — jest w domu? — Postrzegł kobiétę w pokoju, a nie umiejąc sobie jéj przytomności wytłómaczyć, umilkł. Ja poznałem go po głosie. Był to mój przyjaciel Porucznik Wędrychowski, sławny hulaka, zuch do wybitéj i wypitéj, wielki zwodziciel kobiét i wesoły towarzysz do hulanki. Mimowolnie wstrząsłem się, poznawszy go; bo choć nigdym nie wierzył w żadne przesądy, na ten raz wydał mi się istotnie złym duchem, tak niepotrzebnie mi przyjechał.

— Prosimy, jest Pan Adam — zawołał stryj. — Nieborak, przypadkiem — bełkotał — okropnym przypadkiem — ciszéj — z mojéj przyczyny, jest chory, od wystrzału oślepł na chwilę. —

Porucznik spozierał, jak się domyślałem, na Antosię, któréj nie znał, jam to wszystko widział jak na dłoni; obróciłem się ku niemu; stryj kończył:

— Narzeczona mego synowca Pana Adama, jego żona prawie. —

— Pan Porucznik Wędrychowski, mój przyjaciel — dodałem, prezentując go. Antosia usiadła w milczeniu przy mnie, i szepnęła mi na ucho chichocząc:

— Cztérma końmi karemi przyjechał; czarne oczy, czarne włosy, kuleje trochę na nogę, jak gdyby umyślnie za szatana się przestroił. —

— W sam czas Pan nam przybywasz — mówił stryj. — Pozwól koniki do stajni. Rozweselisz nam chorego. —

— Lecz może... — mówił pan Wędrychowski.

— A, żadnego może tu niéma — mówił stryj. — Konie do stajni, rzeczy znieść, i zabawisz tu z nami. —

Nie wiém co mi się stało, ale byłem jak sparaliżowany jego przybyciem. On tego uważać nie mógł, bo widząc mnie tak zmienionym, przypisywał zapewne słabości pomięszanie, którego nawet nie wiém, czy na skaleczonéj twarzy widoczne były ślady.

— Jadę prosto z Łęcznéj, Adamie! — rzekł Porucznik — przehandlowałem moje szpaki, które już były sforsowane, na świéżych cztéry, dobranych doskonale. Co za szkoda, że ich nie zobaczysz! —

— Jakże jarmark? — spytałem cicho z przymusem.

— Wyśmienity był. Ludzi mnóstwo, wesołe towarzystwo; puszczaliśmy w karty; zostałem wygrany; biedny Jerzy zgrał się i zastawić musiał, a potém zapożyczyć u żydów. Prawdziwie nie wiém juk wyjedzie z miasta i co z sobą pocznie? Dałem mu kilka dukatów! —

Milczeliśmy z Antosią. Porucznik ciągle prawił co mu na myśl przyszło.

— Mieliśmy i pojedynek, od którego trochę kuleję — rzekł po chwilce. — Śmieszny-bo nasz Półkownik, że zazdrośny o żonę. —

— Jakże nie ma być zazdrośny? — zawołałem.

Porucznik się rozśmiał.

— Nic dziwię się, że tak mówisz przy Pani — odpowiedział — bo zazdrość, to podobno liczy się za dowód przywiązania, choć ja tego nigdy zrozumieć nie mogłem, dla czego? Zresztą pojmuję bardzo zazdrość w młodych małżonkach, ale późniéj... —

— Tém bardziéj — powiedziałem.

— Koniecznie chcesz Panią przekonać, żeś szalenie zazdrośny — mówił Porucznik.

Nie widziałem go w téj chwili, ale zdawało mi się, czułem, że na moję Antosię rzucał piekielnemi swemi oczyma. Wszystko się we mnie burzyło, oddychałem z trudnością, cisnąłem ręce, poruszałem się niespokojny na krześle. Zazdrość, o któréj mówiliśmy, chwytała mnie za serce; ślepy, zeszkaradzony, stawiałem się myślą obok Porucznika, którego znalem przystojnym, umiejącym się podobać i śmiałym z kobiétami do zuchwalstwa. A z niemi

śmiały tak wygrywa!

Porucznik mówił daléj:

— Wracam do Półkownika. Przynajmniéj on powinienby zazdrość wybić sobie z głowy. Prawda, żonę ma piękną, ale tak zalotną, że jéj nikt nie upilnuje i żadna siła nie uprosi, aby odmieniła charakter, sposób postępowania. Zresztą nażyli się już razem! Półkownikowa, dawna moja znajoma, jeszcze z pensii, mile mnie przywitała, zobaczywszy. Zaproszony na wieczór, poszedłem. Przysiadłem się do niéj — wesoła poczęła się rozmowa. Patrzę na Półkownika, aż blednieje, czerwienieje, sinieje, mieni się na wszystkie tęczowe kolory, drapie się po głowie — istna dusza w czyscu na mękach. Myślałem w prostocie ducha, że go co boli. Idę i pytam go, czy nie chory? Kwaśno spójrzawszy na mnie, odszedł. Półkownikowa, gdym jéj moje zapytanie powtórzył, rozśmiała się głośno, ja także, i nuż śmiać się, aż nasz pan mąż przybliżył się do nas na odgłos tego śmiechu, i kaci go tam wiedzą jak z tyłu podsłuchał, jakeśmy sobie drwili z niego. Bo Półkownikowa kobiéta *bez przesądów* i zna swego męża doskonale. Wyszedłem w najlepszym humorze z salonu, gdy Półkownik za mną poskoczył i szepnął mi w ucho: — Jutro, o piątéj rano, w karczmie na trakcie — proszę wziąść z sobą sekundanta. — Ukłoniłem mu się i odpowiedziałem: — Z całego serca, będę służył. — Nazajutrz rano byłem na oznaczoném miejscu. Sekundanci nasi nie wiedzieli o cośmy się pojedynkować mieli. Żal mi było tego nieboraka męża, któren był wszakże potrzebny za parawan przynajmniéj dla żony; proponowałem zgodę, chciałem go nawet sam z lichem przeprosić. Ani sposobu!

Obrano pistolety — Zgoda. Dwadzieścia kroków odległości. — Strzeliliśmy do siebie razem, i ja mu w ramie, on mnie w nogę lekko ranił. —

Słuchałem w milczeniu Porucznika, ale cały zajęty tém, jakie wrażenie to na mojéj Antosi uczyni; męczyłem się myślą, odgadując wszystkie wejrzenia przybyłego na moję narzeczoną. Znałem tyle ludzi, żem wiedział, jak kobiéty odważnych i szczęśliwych lubią; lękałem się o siebie, drżałem o Antoninę, a domyślałem się najstraszniejszych spisków, nie mogąc widzieć rzeczywistości. Ciągle mi się zdało, że widziałem oczy Porucznika czarne, błyszczące, ogniste, wlepione w *moję* Antosię.

Porucznik tymczasem opowiadał całą jarmarkową historiję, z końca w koniec, z jakiémś szczególném upodobaniem rozwodząc się nad miłostkami i miłostnemi przygodami. Ani czuł nawet nieprzyzwoitości, jaką popełniał, opowiadając je przy Antosi. Nareście ciężar mi wielki spadł z serca, gdy szepnąwszy na ucho, że do siebie odchodzi, moja narzeczona powstała i wymknęła się z pokoju.

Zdało mi się, żem odgadł, żem uczuł wejrzenie ich, które się spotkały na progu, u wyjścia.

— Cóż to u diabła? — spytał Porucznik, gdy wyszła. — Ty ślepy, narzeczona w twoim domu? Kto to jest? co to? wytłómacz mi, proszę. —

Musiałem mu, choć kwaśno, opowiedzieć wszystko. Porucznik, z nieubłaganą swą wesołością, śmiał się ze wszystkiego, z mojego kalectwa i z mojéj męki nawet, któréj nie pojmował.

— Awantura! — zawołał nareście — awantura! Anim się spodziewał zastać ciebie ślepym, biedaku, i nawpół żonatym. Właśnie ci w porę przyszła ślepota, gdyś się miał żenić! Cha! cha! —

I śmiał się chodząc po pokoju.

Stryj nadszedł, i rozmowa stała się powszechniejszą, a dla mnie lżejszą. Powoli zapomniałem o zazdrości i wróciłem do dobrego humoru. Wieczór ubiegł nam wesoło, nad pończem, którego ja tylko zapach łykałem, bo mi go pić nie było wolno. Stryj opowiadał swoje znajome mi historijki, Napoleońskich wpół bajecznych pochodów dzieje, które do Homerycznego śpiewu, w współczesnéj sukni tylko, podobne były.

Późno już rozeszliśmy się. Porucznik stanął w pobocznym pokoju, z którego długo jeszcze, zasnąć nie mogąc, słyszałem świstanie i stąpanie, a nareście chrapanie.

Nazajutrz rano przybiegła Antosia.

— Miarkując po odgłosach wesołości, jakie mnie nawet doszły — powiedziała na powitaniu — musieliście się bawić doskonale. Bardzo jestem wdzięczna Porucznikowi, że przyjechał, i zatrzymywać go będę, póki tylko można. —

Szepnąłem jej na ucho:

— Zmiłuj się, nie czyń tego. On i tak zadługo pewnie siedzieć tu będzie. Nieznośny pasorzyt wyciera całe życie cudze kąty! —

— Godziż się tak mówić o przyjacielu? — rozśmiała się. — Chybaś już zazdrośny jak Półkownik? —

— Ale ja chcę być z tobą; on mi ciebie zasłoni — odpowiedziałem.

— Preteksta! jesteś zazdrośny! To doskonale! Będziesz miał przynajmniéj zatrudnienie, zabawkę. —

— Zabawkę! — odpowiedziałem — nieznośny! —

— Ale to bardzo miły człowiek! — zawołała Antosia — widać tylko, że zepsuty przez kobiéty. —

— Podobał ci się? — spytałem z gniewem ale ukrytym.

Antosia parsknęła ze śmiechu.

— O! bardzo! Co za porównanie do ciebie? Czarne oczy, wąsik wymuskany, i wesołość. —

— Oczy i wesołość, których ja nie mam — dodałem smutnie.

— A! jakież z ciebie dziecko! — zawołała Antosia. — Prawdziwie śmiać mi się chce, gdy słyszę twój głos płaczliwy. Za cóż ty masz kobiétę? —

— Za bardzo słabą istotę — odpowiedziałem.

— Za piękne naczynie szklanne, które trzeba trzymać w pudełeczku, aby się nie stłukło — odpowiedziała ze śmiechem — nie prawdaż? —

Milczałem. Ona usiadła przy mnie i otoczyła mnie kwiatami, ustawiała wkoło mnie potrzebne sprzęty, poprawiła stolik, posunęła krzesło, otworzyła okno z południowéj strony.

— Jaki dziś dzień? — spytałem.

— Prześliczny — zawołała — a choć go chwalić przed tobą nie godzi się, aby ci oskomy nie robić, jednak muszę ci go opisać, abyś przynajmniéj miał o nim wyobrażenie. — Niebo czyste i niebieskie tak, że dziś dopiéro wiém i pojmuję, czemu go niebem zowią; powietrze przejęte zapachami brzóz, bzów, róż i tysiąca kwiatów, łąki żółcieją

i różowieją od smołek i łoteci; lasy w majowych sukienkach; pola zielone; ptaszki śpiewają — wszystko się krząta, weseli, cieszy, choć może nie wiedząc czego. Już i ty dziś powinieneś być w dobrym humorze, bo to jest prawie obowiązkiem w taki śliczny dzień! —

— Chciałbym — odpowiedziałem — ale wszystko się cieszy tém, czego ja nie widzę. —

— Otworzą ci się oczy, mój drogi! — zawołała Antosia — o, otworzą! Doktor obiecuje prędkie uzdrowienie; ja się o nie z duszy modlę! Prędko, na same lato, na wesołe żniwa, wyjrzysz na świat. Wiész, że ja ci zazdroszczę piérwszego wejrzenia! Co to za radość, co za roskosz!! —

Z trzaskiem otwarły się drzwi, i stryj wpadł do pokoju, śmiejąc się do rozpuku. Obróciliśmy się ku niemu.

— Co to za doskonały chłopiec z tego Porucznika — zawołał — jaki wesół, jaki figlarz! Prawdziwie urodzony na wojskowego. Chodziliśmy razem do stajni, po gospodarstwie, koło pola. Nie uszedł dziesięciu kroków, żeby czego nie zbroił; wszystkie dziewczęta po drodze zaczepiał; gospodarował jak u siebie, a w końcu wyperswadował gumiennemu, że przyjechał go liczby słuchać; w co on uwierzywszy, jął mu się z karbów tłómaczyć; a Porucznik tak go zapytaniami splątał, tak go podstępnemi zarzutami obałamucił, że się wydało trochę skradzionego owsa, o którymbym był nie wiedział nigdy! A co za humor! co za nieporuszony niczém dobry humor! Boć — dodał stryj pocichu — mówią, że goły jak święty —

— Cztéry konie, bryczka, kilkanaście dukatów i kilku przyjaciół, całym jego funduszem — dokończyłem. — Ale

nie uwodź się, stryju, dobrym jego humorem i pozorną wesołością; jest to niebezpieczny człowiek. —

Antosia śmiać się zaczęła.

— Wiész, Półkowniku, że zazdrośny już Adam, boi się Porucznika. —

Przerwałem jéj prędko, nie dając kończyć:

— Największy plotkarz, z domu do domu przewozi nowiny niebyłe, na jednych mówi przed drugiemi, jątrzy, poróżnia, śmieje się ze wszystkich i wszystkich objada. —

— Pięknie malujesz przyjaciela! — zawołała Antonina. — I wierzże potém waszym przyjaźniom, gdy się ściskacie tak serdecznie. —

Antosia wybiegła; na progu spotkał ją Porucznik, wracający ze stajni. Słyszałem jak się witali, uczułem jak ją w rękę całował; chciałem go wypędzić, zabić go, udusić.

— Dzień dobry Pani! Rano Pani wstała! Widziałem ją w ogrodzie! Pyszny był ranek! — mówił Porucznik. — Myśmy wczoraj nie dali spać Pani, śmiejąc się do północy. —

— Nic nie słyszałam — odpowiedziała Antosia.

Porucznik wszedł. — Dzień dobry. —

— Dzień dobry.

— Śliczna twoja narzeczona! jak pączek! Ot, wyswataj gdzie i mnie taką. Człowiekowi chciałoby się już ustatkować, ożenić z lichem i swój mieć kąt. —

— Święta rzecz — odpowiedziałem. — Ja nawet nie pojmuję, jak ty tak możesz pędzić życie na dyszlu?

— Ba! — rzekł Porucznik — to jeszcze lepsze, gdyby się nie myślało, co potém będzie. —

— A po co myśleć? — rzekł stryj. — Służę Panu w marjasika. —

— Nie gram nigdy w tę grę. Faraona? jeśli pozwolisz? Założę banczek, Półkowniku! —

— Nie, nie chcę. To dla młodych gra, którym krew po żyłach biega żywiéj niż mnie. —

Porucznik usiadł. — No, jakże się ma dziś chory? Lepiéj! nieprawda? Cha! cha! wyglądasz mi, jakbyś z ukropu wylazł! Okropny! Ja nie pojmuję, jak twoja Panna Antonina może patrzeć na ciebie. —

Stryj mu znak dać musiał, bo umilkł.

W takich rozmowach upłynął dzień cały. Kilka razy Antosia wchodziła i wychodziła. Zręczny Porucznik odzywał się do niéj często i w tonie dawnéj znajomości, umiejąc korzystać z położenia swego, coraz się widocznie zbliżał, co mnie dręczyło niewymównie. Widziałem jak nieznacznie wkradał się w przeszłość, jak się stawał potrzebnym, jak wmawiał, że jest przyjacielem domu, jak małemi usługami, wesołą rozmową, łaski starał się pozyskać. Jakkolwiek ufałem przywiązaniu Antosi, która największą próbę już wytrzymała zwycięzko, ciągłe wszakże porównywanie siebie z nim napawało mnie niespokojnością; drżałem, wystawując sobie, czego nawet nie było; z boleścią otwierałem chore oczy, abym mógł ujrzeć rzeczywistość. Napróżno, nic widzieć nie mogłem; a wesołość Antosi, a grzeczności Porucznika, a coraz wzrastająca poufałość, męczyły mnie nieznośnie.

Jak na złość, Półkownikowi i Antosi zarówno umiał się stać tak potrzebnym, tak miłym gościem w domu

Porucznik, iż mu o wyjeździe mówić nie dali. Wmawiali mi nieustannie, że mnie rozweselał, że mnie bawił, że się bez niego obejść nie było można. W istocie Wędrychowski prędko, jako z professii pasorzyt, poznawszy ludzi i stosunki, nadzwyczaj trafnie wcielił się w całość towarzystwa, i kazał zapomnieć, że był obcym. Rad, że konie i jego dobrze karmiono, że miał ciepły kątek, wesołe towarzystwo i piękną twarzyczkę, ani się myślał ruszać.

Mnie on podwójnie zawadzał: raz, że oddalał od Antosi, z którą przy nim tak poufale, jak sam na sam, być nie mogłem, powtóre, żem się go lękał dla niéj i dla siebie. Wesoła Antosia pustowała z nim, śmiejąc się z mojéj zazdrości, a ja cierpiałem, nie śmiejąc już potém mówić o cierpieniu, z którego nielitościwie żartowała.

— Twój Porucznik — mówiła mi wieczorem, gdy odszedł swoim zwyczajom obejrzeć co się w stajni działo.

— Nie nazywajże go moim, proszę. —

— A więc mój — dodała.

— To jeszcze gorzéj. —

— Czyjże będzie? — spytała — Półkownika? —

— Bodajby, ale nie mój, i nie twój także. —

— No, więc Półkownika Porucznik. Przedziwny człowiek! Uważam go za wzór rycerzy: taki grzeczny, uprzedzający, a nadewszystko taki wesoły! —

— Nie mów mi o jego wesołości. —

— Przecięż co wieczór śmiejecie się na całe gardło z nim razem? —

— Stryj i on, ale nie ja! —

— O! słyszałam i twój głos, mój Adamie! Ale widzę, że

jesteś zazdrośny, okropnie zazdrośny. Zawsze ci w myśli twoja ślepota i jego czarne oczy! Także to wierzysz twojéj Antosi? —

Uścisnąłem jéj rękę w milczeniu.

— A ja ci zapowiadam — dodała — że jestem i będę niesłychanie zalotną; lubię śmiechy, wesołość, towarzystwo; przygotuj się więc na los Półkownika, który P. Wędrychowskiego na Wulkana wystrychnął. —

Dopóki ona była przy mnie, póki jéj rękę w mych ręku trzymałem, pókiśmy byli sami, lżéj mi było; ale jak skoro wszedł ten mniemany przyjaciel, zasępiało mi się czoło, bo widziałem oczyma duszy, jak ją magnetyzował wejrzeniami, wystawiałem siebie z swojém kalectwem obok niego, a pomimo zaklęć Antosi, mimo szczéréj chęci wierzenia w jéj przywiązanie, lękałem się o nią.

Nazajutrz i dwa dni jeszcze, ani myślał wyjeżdżać Porucznik; powiadał, że koń mu zakulawiał i noga goić się nie chciała, a coraz gorzéj jątrzyła. Pod tym ostatnim pretekstem nie wychodził już z mego pokoju i nie dał mi się nawet chwili sam na sam z Antosią zobaczyć. Klątem go w duszy, ale nic na to poradzić nie mogłem. Potém, czy mi się zdało, czy istotnie tak było, Antosia częściéj z nim niż ze mną rozmawiała, a pół-godziny czasem zapominali, że ja chory, udręczony, siedziałem tam przy nich w milczeniu. Ona nie miała już dla mnie tego starania macierzyńskiego, jakiém mnie w piérwszych chwilach otaczała; wyręczała się grzecznym Porucznikiem, który mi posługiwał jak za napaść. Jeden stryj, zawsze z jednaką pieczołowitością, chodził koło mnie, a zgromadziwszy, jak mi się zdało,

wszystko co mię rozerwać mogło, zacierał ręce i cieszył się, że choć w części wynagrodził mi wyrządzonego bolesnego figla.

Po dwóch dniach, Porucznik mnie pożegnał.

Napróżno stryj i Antosia wstrzymywać go chcieli (bo ja milczałem); uparł się jechać koniecznie, a gdy, potrząsłszy mi rękę, życząc rychłego ozdrowienia, siadł i pojechał, jakby mi kamień spadł z serca. Gniewałem się tylko jeszcze, gdym posłyszał Antosię, żegnającą go z ganku, wyrazem, którego znaczenia odgadnąć nie mogłem; mówiła mu bowiem:

— Do zobaczenia! —

Alem o wszystkiém zapomniał, zostawszy z nią sani na sam; naówczas przyszła mi wesołość dawniejsza, gdy ją właśnie po raz piérwszy odbiegła.

Pojąć tego nie mogłem. Antosia milcząca, smutna, nie była Antosią. Napróżnom ją chciał rozweselić, rozruszać, ożywić — nie podobna było.

I jak dawniéj czerwcowy wiosenny wieczór oknem ku mnie powiewał z miłemi oddechy, słowik śpiewał, bzy kwitły — Antosia milczała.

— Co ci jest? — spytałem. — Zmieniłaś się. Mamże ja ciebie rozweselać, wypłacając ci twe próżne staranie o moję przed kilką dniami wesołość? —

Milczała i pocichu westchnęła.

Usłyszałem grzmot daleki, toczący się z chmury w chmurę, i Antosię zamykającą okno.

— Burza nadchodzi — odpowiedziała. — Ja się bardzo burzy boję, lękam się grzmotów! —

Przypisałem więc zmianę humoru niepojętemu wrażeniu, jakie na osłabionych czyni zbliżanie się piorunowéj burzy. Ja sam doznawałem jakiegoś rozdrażnienia, którego chociaż nigdym wprzód nie czuł, teraz je tłómacząc osłabieniem, także składałem na burzę. Stryj, który w téj chwili wszedł, także był przeciw zwyczajowi swemu zasępiony; chodził popokoju i mruczał cóś pod nosem. —

— Gradowa chmura, gradowa chmura! — powtarzał ciągle — niech sobie idzie na lasy, na bory, bo grad nam wcale niepotrzebny na pola! Będzie po pszenicy i po życie! a może i po jarzynach wcześniejszych! —

Znowu grzmot rozległ się bliższy. Nie widziałem błyskawicy, ale usłyszałem krzyk Antosi, która się nagłe zbliżyła do mnie, mówiąc pocichu:

— Porucznik wyjechał w taką burzę! —

Odepchnąłem ją zlekka, nieukontentowany, że w téj chwili przypomniała sobie tego nienawistnego mi Porucznika.

— Co ci jest? — spytała mnie roztargniona.

— Co mi jest? — odpowiedziałem wrzący. — Ty się pytasz? alboż nie pojmujesz jak przykro mi być musi słyszeć ciągle to imie w twych ustach? —

Antosia się rozśmiała, ale wyraźnie przymuszonym śmiechem.

— Proszę cię, stryju, na sąd — powiedziała do Półkownika. — Ten niewdzięczny Adam prześladuje mnie Porucznikiem, i wymarzył sobie, że powinien o niego być zazdrośny. —

— Młoda głowa zwyczajnie! — rzekł stryj — pstro w

głowie! Co-by powinien na klęczkach dziękować, to cię jeszcze dręczy i siebie razem. Ale ślepemu trzeba coś wybaczyć! Jak wyzdrowieje zupełnie, dasz mu naukę za to. Ale-bo i Porucznik, rzekł chodząc ciągle po pokoju — wybrał się przeciw takiéj chmury! Mil kilka karczmy niéma na drodze, a pioruny w tamtéj stronie biją a biją! —

— Nic mu się nie stanie — odpowiedziałem z goryczą. — Licho go nie weźmie — rzekłem w duchu, tego przeklętego Porucznika. —

Burza coraz się zbliżała, pioruny biły a biły, i wiatr szumiał, gałęźmi drzew tłukąc o okna pokoju, nareście krople ciężkie deszczu stukać zaczęły o szyby. Antosia pocichu się modliła, ja siedziałem milczący, stryj chodził, mrucząc coś niezrozumiałego.

Siedząc naprzeciw okna, uczułem po raz piérwszy światło błyskawicy, które jak przez mgły gęste ujrzałem. Uradowałem się tém i poczęłem wołać do Antosi:

— Widzę! widzę! — właśnie z taką zapamiętałością i roskoszą, z jaką Archimedes wołał swoje: *Eureka!*. Porwałem się z krzesła, wyciągnęłem ręce, drżałem cały; Antosi rękę uczułem w swojéj, zbliżyłem twarz ku jéj twarzy, napotkałem na niéj — łzę. Upadłem na kolana, dziękując jéj za nią.

W tém myśl dziwna przebiegła mi przez głowę. — Ta łza byłali łzą radości, czy łzą smutku? Może płakała po wyjeżdżającym, nie cieszyła się mną! — I znowu niespokojny upadłem na krzesło, oparłem głowę na rękę, milczałem.

Poczciwy stryj, pełen radości, stał przy mnie i pytał mnie

nieustannie: — A co? widzisz? Oto teraz gracko błysnęło! Piorun padł! Widzisz co? Panie Adamie! widzisz co? —

Ja już nic nie widziałem, prócz téj łzy, któréj sobie wytłómaczyć nie umiałem; nią cały byłem zajęty.

Grom przeraźliwy wstrząsnął mną, a bardziéj jeszcze krzyk Antosi, który się dał słyszeć z nim razem. Stryj także rzucił się z miejsca.

— Co się stało? — spytałem.

— Piorun uderzył w staw przed domem! —

— A słowo stało się ciałem! — wołała Antosia.

Drzwi się otworzyły.

— Kto tam?? —

— Porucznik!! — zawołał stryj i ona razem — Porucznik! —

— Prędko z powrótem! — dał się słyszeć głos Wędrychowskiego. — Burza mnie napadła w drodze, musiałem się rejterować i jestem tu znowu. Jużciż mi nie odmówicie noclegu? —

Jam nic nie rzekł. Posępny milczałem; ale stryj, który już go ściskał serdecznie, Antosia, któréj głos piérwszy mi niemiłego gościa zwiastował, zapraszali go jak najmocniéj.

— Poco-bo było tak się śpieszyć z przyjacielskiego domu! — wołali.

— Ulewa jak z wiadra — rzekł Porucznik siadając — piorun po piorunie pada! Ostatni, którego zapach siarczysty poczułem, uderzył w staw niedaleko. Ale jakże chory? —

— Ujrzał błyskawicę! — zawołał stryj. — Przejrzał, przejrzał, chwała Bogu! — Od strzału stracił wzrok i od strzału odzyskał! Już kiedy widzi błyskawicę, zobaczy

wkrótce i dzienne światło. —

Porucznik śmiał się na cale gardło, ocierając zmokłe odzienie, i szeptał cóś do Antosi; czego słyszeć nie mogłem: bo krew bijąca do głowy szumiała mi w uszach gorzéj piorunów i grzmotów.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Placyd Jankowski, Józef Ignacy Kraszewski.*

III.

Przeszła burza. Pioruny już tylko głucho w oddaleniu grzmiały. Ztémwszystkiém, w skutek skołatanego powietrza, jakby nie mogąc jeszcze ochłonąć z przestrachu, drżał od nich cały horyzont; szyby w oknach dźwięczały, listki chwiały się i tuliły do siebie, ptastwo nie śmiało zabrać głosu, wszystko w nieméj trwodze świadczyło, że przed chwilą mówił Pan do przyrodzenia. Sami tylko ludzie, zawsze ciż sami, zawsze podobni do tego niesfornego tłumu, który, z przytajoném do ziemi obliczem, truchlał, dopóki się dawał słyszeć głos z Horebu, i wołał, *że umrze od tego głosu*, a potém rozpoczynał nanowo swoje bluźniercze szmery — sami tylko ludzie zdawali się nie przyjmować do serca tych dalekich wołań gromu, zdawali się wstydzić i żałować niejako swojéj niewczesnéj trwogi — dla tego, że już przeminęła.

— Doprawdy, że aż mi wstyd za siebie, żem się wydała takim strasznym tchórzem! — rzekła najpiérwsza Antosia.

Słowa te widocznie musiały być powiedziane do Wędrychowskiego, bo w ich tonie był ten jakiś akcent lukrecijny, przebijała się ta usiłowana chęć przypodobania się, przymilenia, ta jakaś szepleniąca przysada, która mi była w téj chwili tak nienawistną, jak moja ślepota.

— Któżby znowu miał za złe kobiécie, że się nie

urodziła *Nejem* albo *Miuratem*? — odpowiedział Wędrychowski. — Bóg nie dał żelaznego serca kobiétom, ale za to obdarzył je jakimś im tylko właściwym urokiem bezbronności. Pani zwłaszcza tak jesteś cudowną, tak zachwycającą w samym przestrachu, że nie posądź mię tylko o złe serce, ale chciałbym niemal, aby się jeszcze raz do nas zawróciła chmura! —

Zalotna ta fraza, gdzieś zapewne podsłuchana czy wyczytana, tém bardziéj mię gniewała, że była dość zręcznie i na miejscu użytą.

— A to pięknie znowu! Cożem zrobiła złego Panu Porucznikowi, przy naszém pierwszém poznaniu, że chciałbyś mię Pan widzieć powtórnie na mękach? —

Nie trzeba było lepszego dowodu, że hołd kadzidła został mile przyjętym. Było to jawne wezwanie do dalszych *incensii*. I wprawny Porucznik nie zaniechał pory.

— Ale, do stu kartaczów, chybaś Pani ani trochę nie kobiéta, i ani trochę nie lubisz zawracać biednych głów ludzkich, jeśli masz mi za złe to życzenie, może nieco okrutne, wojskowe; ale cóż, kiedy mi się zerwało wprost z żołnierskiego serca? —

— I gdzieżeś, proszę cię, mój Poruczniku, widział tyle kartaczy? chyba w arsenale? — rzekłem złośliwie, i nie dość jeszcze ucieszony z mojéj złośliwości.

— Gdziem widział? pytasz, Panie Adamie! — odpowiedział z cedzonym przekąsem Wędrychowski. — Ale należy ci darować to pytanie! Takeś już dawno nie widział Bożego świata, że gdy zajdzie mowa o wzroku, być może bez zamiaru zdarza się ci być naiwnym. To też

właśnie istotny przymiot prawdziwéj naturalności! —

— Więc abym dowiodł, że nie darmo mi przyznajesz ten przymiot, Panie Poruczniku! — odpowiedziałem zaperzony — daj sobie przypomnieć, że jużeśmy się raz pożegnali, i burza, zda się, przeminęła; a więc szczęśliwéj Mu podróży! —

— Cóż to za raptus? Adasiu! — rzekł stryj, trącając mię za ramie.

— W obecném położeniu Pana Adama — odpowiedział Porucznik — uchodzi bezpłatnie nie jedna rzecz taka, o którę się zwykle rozpłacają ludzie o wszystkich pięciu zmysłach! —

— O! skoro idzie o tę rozpłatę — zawołałem — bądź pewnym, mój Panie, że ci się z nią przypomnę niezadługo. Jeszcze kilka skier takich, jakie'm przed chwilą uczuł w oczach, złaski błyskawicy, i ukończymy z sobą za jednym razem wszystkie nasze rachunki! —

— Czyż doprawdy? Panie Adamie! — zawołał wesoło Wędrychowski. — A jam sądził, że po ostatniéj przygodzie nabędziesz już na zawsze śmiertelnego wstrętu do pistoletów. —

— O! nie! — odpowiedziałem, starając się zdawać obojętnym. — Śmiertelny wstręt można czuć tylko do półgłówków! —

— A więc naturalnie, rozstajemy się z sobą *po bratersku, en ami!* — odrzekł Wędrychowski, nie zmieniając swojéj przeklętéj wesołości.

I korzystając z osłupienia, w jakie mię wprawił, ukłonił się stryjowi, pocałował w rękę Antosię i wyszedł.

Słyszałem, jak całował rękę mojéj narzeczonéj, jak wyszedł, czułem żem został, że siedzę, alem nie pamiętał ani gdzie jestem? ani co ze mną? Tysiączne kolory krzyżowały się w mych oczach; w uszach mi tętniło, szumiało, dzwoniło, bębniło; serce biegało mi w piersiach, jak wiewiórka na młynku; i jak się to stało, żem mógł pozostać przy rozumie, nie wiém, jak chcę być szczęśliwym. — Rzecz z siebie była dziecinna! — powiécie. Tak się to zdaje, patrząc ze strony. Ale w obec kochanki zostać tak doskonale upokorzonym, zdruzgotanym, zniweczonym, i od kogoż? od człowieka, ku któremu najsprawiedliwiéj czuć można było najszczérszą pogardę — od tego, tego Wędrychowskiego, którego potrzeba, abyście tak dobrze znali, jak ja go znałem — który nigdy w życiu trzech słów nie skleił zgodnie z rozumem, znośnie, po ludzku — a teraz, jakby jakiémś zesłaniem, czy szatańskim podszeptem, okazał się tak dowcipnym, rozsądnym, umiarkowanym — gdy na mój udział pozostawały tylko gburostwo i ślepota! Do tego opłakanego przekonania dodajcie najwyższą, jaką tylko możecie sobie wystawić, drażliwość, spowodowaną tak długą chorobą i straconą już niemal nadzieją odzyskania wzroku; dodajcie zazdrość, która, mówiąc mytologicznie, trzyma ślepych w wiecznym zaprzęgu, i za lada przyczyną, biczuje ich bez miłosierdzia; nie zapomnijcie wreście na tę francuzką logikę dwudziestoletniego człowieka, która wszystko gotową jest uniewinnić i przebaczyć, wszystko prócz *affrontu*, a nie będziecie się dziwili i wzruszali ramionami, że dla téj fraszki, jak ją zowiecie — tak,

właśnie dla téj fraszki — mógłbym był na zawsze umyć się rozumu.

Po wyjściu Wędrychowskiego, nastało długie milczenie, którego stryj i Antosia nie chcieli przerywać, bądź przez litość nade mną, bądź z obawy, abym od słowa nie wyzwał i ich też na pojedynek.

Jam się kręcił na krześle, jak ów sławny professor *upsalskiego* uniwersytetu — w oczekiwaniu Księcia Kuratora. I któż wié, czylibym w téj chwili, nie obrał też sobie za temę znamienitego ogólnika: — *An dantur remedia, et si dantur, qualia sunt?* — Bo w żaden a żaden sposób nie umiałem sobie doradzić. Chciałbym już był nareście, aby mię oni zaczęli raczyć morałami, trapili pociechami, kłóli szyderstwami! Ale nielitościwi milczeli, nie ruszali się z miejsca: wyraźnie więc nie spuszczali mię z oka, i widzieli, liczyli wszystkie te okropne miny, przy których najśmieszniéj w śniecie musiałem wyglądać, nie mogąc wszakże żadną miarą ich poprzestać, podobnie jak śpiący, któremu się naprzykrza augustowa mucha, lub szubrawcy wodzą kloskiem po ustach.

O jakże żałowałem wtedy, żem się nie urodził kobiétą! Omdlałbym, przywołał na ratunek spazmów, i wszystko zostałoby zapomniane!

Nie podlega wątpliwości, że kobiéty w filozofii życia bardzo dawno, daleko i szczęśliwie nas uprzedziły. Myśmy do téj pory nie potrafili przyjść do rozwiązania, nawet w tym codziennym, niemałéj zaiste wagi przypadku: jak sobie postąpić należy, gdy poczuwamy się sumiennie, żeśmy winni, a duma do obu uszu nam woła, abyśmy nie

przyznawali się do winy? — Pojedynek! Ha! i cóż to za sposob? Nie mówiąc już o tém, że to jest sposob na raz tylko, w Paryżu obliczono i przekonano się nareście, że same śniadania z Szampanem, które z góry na rachunek pojedynkujących zakazują sekundanci, daleko więcéj kosztują, niż podróż do Szwajcarii, ze wszystkiemi *wrażeniami*, tam i na powrót uzbieranémi!

Myśliłem, myśliłem długo, jakby też sobie począć w moim nieszczęśliwym razie, jaki wynaleźć środek, aby się nie zdawało, że żałuję tego co zaszło, by nic dać poznać, żem raniony i cierpię boleśnie na moję ranę; kilkakrotnie krzywiłem się już do uśmiechu i byłem dość blizki szlachetności rozwiązania ust stryjowi i Antosi, którzy zapewne z całego serca radzi byli i mogli uśmiać się ze mnie; ale wkrótce odtrąciłem od siebie tę myśl dobrą, jak jaką niegodną pokusę, i wolałem uciec się do sposobu, jedynego zapewne i najwyborniejszego, jeślibym był jakąkolwiek niedawno zamężną Panią Sędziną.

— Wody! — rzekłem słabym głosem, i zakryłem twarz rękoma.

— Ach! — zawołała moja biedna, przestraszona Antosia, i pędem wybiegła.

— Adasiu! dziécię moje! Ale nie zwieszaj tak głowy! — wołał stryj, i ujął mię za głowę swojémi grenadijerskiemi rękami tak silnie, żem omal nie krzyknął z całéj mocy. I byłoby po tragedii!

Antosia wróciła w oka mgnieniu ze szklanką wody i z całym kalibrem flakoników. Rozpoczął się obrzęd trzeźwienia: przewiązano mi rękę, ściśnięto serdeczny

palec, zakrzątano się koło nosa. Wkrótce omal mi doprawdy nie zrobiło się słabo. Czułem, że zimny pot występuje mi na czoło; a śmiertelny wstyd ogarnął mię całego i dusił jak wąż boa. — O coż to za męczeńska, co za nieznośna ta nieszczęsna obłuda! Piérwszy raz wtedy postanowiłem sobie z serca, i za pomocą Nieba mam nadzieję wytrwać do końca: że przyjmę raczéj z pokorą sto nieszczęść, niżbym raz jeszcze miał dopuścić się obłudy.

Jakby w nagrodę tego dobrego postanowienia, nadjechał właśnie lekarz, po którego posłał stryj za piérwszem mém wykrzyknieniem, żem przejrzał. Rozkazał on natychmiast przeprowadzić mię do mojego pokoju, zasłonić w nim okna, i zalecił jak największą cichość. Nie wiém doskonale, do czego-by miał służyć ten ostatni warunek, i nie zupełnie chciało mi się wierzyć rozumowaniom szanownego Eskulapa, iż wszelka rozmowa, smutna czy wesoła, zajmująca czy obojętna, mogłaby zawsze działać w sposob zbyt drażliwy na nerwy tak czułego organu, jakim są oczy; ztémwszystkiém w ówczesném mém położeniu, wdzięczny mu byłem z serca, że mię skazywał na milczenie. Za to kochany mój konsylijarz zabrał głos za nas wszystkich, i o jakże był szczęśliwym tą pewnością, że nie zostanie przerwanym! Ale godni-ż są ludzie niezachmurzonego szczęścia, osądźcie sami, kiedy taka niewinna i ograniczona w swych wymaganiach istota, jak gaduła wolny od przeszkód i obawy, wnet staje się nieczułym, bezwzględnym, nawet okrutnym dla innych!

— Każde *pathema animi* — zagaił magnificus — a raczéj wszystko, co tylko w jakikolwiek-bądź sposob

podnosi i wprawia w żywszy obieg *cyrkulacją* krwi, jak w ognisku *concentruje się* i odbija w oczach. Stąd to, naprzykład w smutku, widzimy łzy, które nie są czém inném, tylko nagłym przypływem humorów; stąd w radości łzy też bywają, lub co pospoliciéj, zatrzymują się one w samych źrzenicach, i nadają im tę przezroczystość, która czyni wzrok ożywionym, jaśniejącym, pełnym wyrazu i ognia, jak się mówi zwyczajnie. Choć może byłoby właściwiéj, jak uważa pewien niemiecki fizijolog, mówić w podobnym razie, że oczy pełne są *wody* niż *ognia*; co nawet lepiéj-by usprawiedliwiało i poetyczne porównanie oczu do dijamentów: bo i te ostatnie tém są piękniéjsze, im więcéj w sobie zawierają wody. Ale z drugiéj strony, wyznać należy, że i to powszechnie przyjęte wyrażenie: *blask oczu*, *ogień oczu*, ma też swoję zasadę: bo nic bardziéj nie wyczerpuje i nie trawi sił żywotnych, nad ten ognik oczu, zgubny i zwodniczy, chociaż tak pożądany. *Supponuje* on zawsze, to jest, każe się domyślać jakiegoś niszczącego, wewnętrznego płomienia, i z tego względu przyrównałbym go do wulkanu! —

W ciągu téj *dyssertacii*, za którę zacałowałbym kochanego doktora, wychylił on parę szklanic pończu, poczém bardzo naturalnie *znalazł*, że mam puls mocno podniesiony; powtórzył więc raz jeszcze swoje wyborne przestrogi, abym się zachował jak najspokojniéj, unikał silnych i nagłych wrażeń, i przedewszystkiém *pathemata animi* trzymał na wodzy; a w nagrodę przyrzekał mi, że jeśli nie za dni kilka, to najdaléj już za tydzień, za drugi, *plus minus*, będę widział lepiéj jeszcze niż wprzódy

— O! co w tém, kochany konsylijarzu! — odpowiedziałem — tom gotow ci wierzyć najszczérzéj; chociaż z powodu mocnéj budowy, czy też jakiejś ukrytéj wady organicznéj, jak tam je *technicznie* nazywasz, nigdy nie mogłem w sobie obudzić mocnéj wiary w medycynę. W rzeczy saméj, jeśli kiedy, za łaską BOGA, wzrok odzyskam, spodziewam się widzieć wiele rzeczy inaczéj i lepiéj, jak dotąd. —

Ostatnie te słowa powiedziałem z przyciskiem, i nie bez zamiaru.

— Niezawodnie! niezawodnie! — odrzekł mój dobroduszny konsylijarz. — Zwłaszcza jak skoro czujesz już Pan sam w sobie odzywającą się tę jakąś ufność i w naszych malutkich staraniach — co zawsze jest prawie niemylnym głosem matki-natury, *almae victricis naturae* — można stawić sto przeciw dziesięciu, że jesteś radykalnie uleczonym. Ale pozwól mi-no raz jeszcze swojego pulsu, Panie Adamie! — Brawo! ślicznie! *vaccillans* i *undulatus!* Zapowiada on poty, od których możemy się spodziewać najpomyślniejszych następności. Rozumié się przy zachowaniu się przyzwoitém, i przy tych środkach i pomocach, jakie wskazuje medycyna, któréj wszakże, jak na teraz — wyznam ci pod sekretem, kochany Panie Adamie! — pozostaje już tylko być, zostawać, i pisać się najpokorniejszą służebnicą a nie mistrzynią natury — *non tam magistra, quam ministra*. —

— Zda mi się, kochany konsylijarzu, że to jéj jedyna i najwłaściwsza rola od początku aż do końca każdéj choroby, ile ich tylko od czasów Celsa i Paracelsa

umieliście stworzyć i nazwać po grecku. —

— No! no! Już-ci też o tém dałoby się podysputować. *Ad scrutinium et examen deveniendum esset!* Ale że to rzecz z siebie nie bagatelna i mogłaby go wzruszyć!... —

— Bynajmniéj, kochany konsylijarzu! Czuję się tak dobrze, że nie tylko cała medycyna, ale nawet najoczywistsza płochość, najlepiéj obmyślona obłuda i najczarniejsza zdrada, ze strony takiéj osoby, dla któréj przed chwilą gotow-bym był oddać życie, już-by mię teraz nie tylko wzruszyć, ale nawet zadziwić nie potrafiły! —

— Dobrze to jest. — Ale jakiż to ma związek i czyja, naprzykład, zdrada z medycyną? — Pozwólno mi raz jeszcze swojego pulsu, kochany Panie Adamie! I pomówmy z sobą otwarcie. Jesteśmy tu sami! —

— Jak to! — zawołałem z jakąś złością, że wszystkie te moje sztyletowe napomknienia na wiatr poszły. — Więc tu niéma nikogo więcéj? nikogo a nikogo? —

— Nikogo! doskonale nikogo! Pan Półkownik już wyszedł do siebie od godziny, a Panna Antonina jeszcze piérwéj musiała udać się na spoczynek. Bo już też i spóźniona doba. Mamy około trzech kwadransów na dwunastą. Nie zaręczę nawet, czy z powodu prędkiéj jazdy nie znajdzie się o kilka sekund różnicy na moim zegarku: śmiało więc mogę powiedzieć, że mniéj więcéj musi być około trzech kwadransów. Jesteśmy teraz właśnie około uroczystéj Huflandowskiéj godziny przesilenia.

— Ha! jeżeli tak, to dobréj-że nocy, kochany Doktorze! — rzekłem, niemal z gniewem; i strasznie nie rad z siebie, urażony do całego świata, rzuciłem się na pościel.

— Ale-ż mieliśmy jeszcze obaczyć pulsu. Wreście sen, spokojność i natura powinny wziąć swoje! Więc dobranoc! najserdeczniejsze dobranoc! —

I mówiąc to, kochany *magnificus* postawił szklankę, która jęknęła *głosem pustyni*, (porównanie wzięte od Vikonta d'Arlincourt), wstrząsnął mię za rękę, i wyszedł.

Jam został, co się nazywa, na Prokustowém łożu. — Kto nie doznał, ani razu w swém życiu, męczarni zazdrości, kto w niéj uważa biedną tylko i godną śmiechu słabość ludzką, ten nigdy nie czuł głęboko i nie kochał nigdy. Tak jest, nie kochał nigdy całym szałem serca i młodości. Zazdrość, jakkolwiek ją czarno i nienawistnie malują, jest to przecięż najczystszy i najszczérszy z mimowolnych tonów naszego serca. Kto go nigdy w sobie nie słyszał, lub przytłumienie jego przypisuje przemagającej szlachetności i delikatności innych uczuć, ten, powtarzam, nie kochał nigdy. Bo kochać i nie pragnąć całkowitego, wyłącznego, niepodzielanego z nikim posiadania ukochanego przedmiotu, nie rozciągać tego wymagania do wszystkich myśli, pragnień, do sennych nawet marzeń ukochanéj od nas osoby, to nie prawdziwa miłość, to nie namiętność. Namiętność z saméj swojéj natury nie zna żadnych ograniczeń, żadnych względów, żadnych warunków. Kochać namiętnie, jest to chcieć jednę tylko — tylko jednę mieć duszę, z tą, którę kochamy. I jeśli, topiąc oko w oku, oddając uścisk za uścisk, nie dostrzegliście nigdy, jak wasze dusze przestawały być dwiema, jak wnikały i zlewały się w jednę, jak się czuły błogo, lubo w tym stanie, i zaprzysięgały sobie trwać wiecznie w téj jedności — biedni! wyście nie kochali

nigdy! Idźcie do teatru i śmiejcie się — do łez śmiejcie się z zazdrości!

Ach! tak jest! straszna to i dzika namiętność — straszna i dzika jak Otello. Ale też bez niéj miłość jest to tylko słowo stworzone w salonach i przeznaczone do pisma — cyfra algebraiczna i nic więcéj!

Teraz pomyślcie o zazdrości ślepego! Ach! chyba pod ziemią może być druga podobna do téj męczarnia!

Gdym padł na posłanie, czułem się tak, jak gdybym głowę i serce miał zanurzone we wrzącym ołowiu. Myśli jakimś ognistym wężykiem migotały mi po mózgu, krew już nie krążyła we mnie, ale pieniła się, piętrzyła i szumiała jak morska fala, całe ciało rosło nagle w olbrzymich, strasznych, i jakichś niewymównie ciężkich, żelaznych rozmiarach; mniemałem słyszeć, jak zdruzgotane łóżko padło pode mną, jak się rozchodziły ściany i sklepienie domu nie mogąc mię objąć, jakem rozmiatał dach rękami, i na chwilę było mi lżéj na odkrytém powietrzu; ale wnet słońce, ku któremu rosłem i rosłem, zaczęło mię piec okropnie, i na tę nową mękę nie mogłem obmyślić sposobu. Mąciłem stopami morza, zrywałem i ciskałem gwiazdy na wszystkie strony, tłukłem głową o księżyc, połykałem całe chmury, i ani kropla, ani kropla wody nie mogła ochłodzić mych piersi, które gorzały jak czeluści wulkanu.

Wszystko to działo się nie we śnie, ale w tém jakiémś gorączkowém pół-czuwaniu, pół-przytomności i pół-obłąkaniu, z którego wybić się nie było możności: bo same nawet nadludzkie usiłowania do przedarcia oczu i upewnienia się o rzeczywistości, sprowadzały tylko nowe

męczarnie i nowe straszne złudzenia.

Nie umiém powiedzieć, jak długo dręczyłem się w ten sposob; ale była to ostatnia walka ciemności ze światłem. Gdym się obudził nad rankiem, krzyknąłem wielkim, mimowolnym głosem, jak ślepy od urodzenia, na widok bijącéj nań jasności od cudownego obrazu. — Oczy otworzyły się mi łagodnie i bez najmniejszego bolu. Boskie słońce świeciło mile przez zieloną firankę. U okna, z twarzą na ręku opartą, siedziała Antosia.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Placyd Jankowski, Józef Ignacy Kraszewski.*

IV.

SPYTAŁBYM cię w tém miejscu, kochany Czytelniku, figurą retoryczną nowéj *fozy*: byleś-li kiedy ślepym i odzyskałeś wzrok, a odzyskawszy pomnisz jakeś się cieszył, jakeś się radował, jak ci wszędzie niedość było powietrza do oddychania na twoje szérokie piersi, jak ci nie było kogo ściskać dosyć, jak ci ziemi brakło pod stopami, dni brakło na życie? Byłeś-li kiedy ślepym i uzdrowionym, uwięzionym i oswobodzonym, umarłeś-li kiedy (bo i to się trafia) i wstałeś z grobu??

Jeśli byłeś w jednym z tych przypadków, pojmiesz moje szczęście, moje uczucia, radość, pojmiesz czego doznałem, ujrzawszy razem światło Boże i — Antosię.

Ach! bo w téj chwili wszystko było przebaczone, zapomniane, skończone; to, co przeszło, wydało się snem tylko ciężkim, który z otwarciem powiek ulatał; przeszłość wstawała przede mną jasna, w szacie ze złota, bieli i lazuru, przyszłość piękna, jak Antosia.

Nie byłem już tym nieszczęśliwym, co przed chwilą gorzkiemi jadł się myślami, drugich dręczył, sam się niepokoił i kalectwem ciała usiłował skaleczyć swą duszę.

Odrodzony, odmłodzony, drugi raz na ucztę życia zaproszony biesiadnik, byłem szczęśliwy, ach! byłem szczęśliwy, nad wszelki wyraz, nad pojęcie! Chwilę, chwilę

jednę uczułem, pojąłem, jakie może być szczęście tych, których sprawiedliwość Boża powoła z ciemności na wieczne światło, po próbie, co za grzechy ich będzie karą.

— Ja widzę! — zawołałem — ja widzę!! —

A Antosia jak stała, tak uklękła u okna i modlić się zaczęła, a po krótkiéj modlitwie, pręciutko kilka słów wymówiwszy, pobiegła do drzwi, drzwi roztwarła i zawołała:

— Przejrzał! przejrzał! —

Stryj, przechodzący właśnie na palcach pode drzwiami, wpadł radośnie do pokoju.

— Chwałaż Tobie PANIE! Lżéj mi na sumieniu! I czy doprawdy widzisz? —

— Widzę, widzę — odpowiedziałem — widzę was, widzę Antosię, widzę światło, widzę! Odsuńcie tę firankę, odemknijcie okno! —

— Stój! stój! powoli — zawołał stryj. — Na ten raz nic z tego nie będzie. Długo jeszcze słaby odzyskany wzrok oszczędzać potrzeba; stopniowo go do światła przyzwyczajać. Spokojnie! spokojnie! leż spokojnie — potrzebujesz odpoczynku! Nawet na szanowną opiekunkę twoję, na anioła tego — dodał z pół-uśmiechem — nie poglądaj tak chciwie, tak nienasyconym wzrokiem. Spokojnie! spokojnie! —

W ustach stryja, który sam był niespokojny, miotał się z radości na wszystkie strony, podbiegał, chodził, siadał, wstawał, wyraz ten: spokojnie, wydał mi się tak dziwnym, żem się rozśmiał.

I Antosia, dobra, anielska Antosia, wszystkiego

zapomniawszy, nie wiedząc czemu, śmiać się ze mną zaczęła; tak i jéj widać na sercu było lekko, wesoło, tak potrzebowała tylko pretekstu do śmiechu, do okazania swojéj radości.

— Ale ja całkiem zapomniałam, że mój chory potrzebować czegoś więcéj może i samém światłem nie wyżyje — rzekła, zakręciła się i wybiegła.

Stryj pozostał, ściskał mnie, nócił, chodził pu pokoju, i widać na nim było także ową radość wyswobodzenia, podobną mojéj. Jemu z sumienia ogromny spadł ciężar.

Patrzcie, jak krótkie, jak znikome są nawet najsilniejsze radości tego świata! Kilka zaledwie upłynęło minut, a czoło moje zasępiać się już zaczynało, a myśl jakaś bolesna rwała mi duszę. Mamże wam powiedzieć, co mnie dręczyło? Wstydzę się — lecz powiém. Przyszło mi na myśl, jak też wyglądać mogę po téj okropnéj chorobie, jaki ślad na mojéj twarzy zostawił wystrzał stryjowski? Zrobiło mi się w chwili duszno i gorąco, piersią jakby fala poruszyła, oczy nawet mgłą zaszły, bo wszystka krew uderzyła do głowy. Patrzałem na daleko wiszące źwierciadło z najwyższą pożądliwością i największym strachem. Chciałem siebie zobaczyć, i lękałem się widzieć. Bałem się utracić nadziei, jaką miałem, nadziei, żem był jeszcze czém wprzódy, byłem młodym, przystojnym. Przechodziły mi po wstrząśnionym mózgu poczwary, wykrzywione twarze, czerwone policzki, centkowane czarno, zarumienione bez brwi oczy, a za każdą strach wskazywał i pytał: możeś ty taki??

Stryj łatwo postrzegł zmianę stanu mego umysłu. W

istocie niewiele potrzeba było przenikliwości, żeby dójść co się ze mną działo. Ocierałem pot z czoła spływający i wzdychałem ciężko, ukradkiem, złodziejsko spozierając na źwierciadło stojące daleko.

— Przysiągłbym, że się waści chce zobaczyć we źwierciedle — rzekł — i że to tego tak wzdychasz, a boisz się, mój mosanie, zajrzeć, abyś się nie przeląkł. Ba! już teraz wyglądasz przynajmniéj jak człowiek, i niéma się czego lękać. Z początku to było co innego.

To mówiąc, powolnym krokiem poszedł do stolika.

Serce biło mi gwałtownie, gwałtowniéj może, niż przy pierwszém — *kocham* — wyrzeczoném i usłyszaném; tém czarodziejskiém słowie, którém się dusza wzrusza tak silnie i głęboko.

Słyszałem kroki stryja, liczyłem, i gdym miarkował, że już jest przy mnie, zamknąłem oczy zestrachu. Jeszczem się bał ujrzeć poczwary.

Ale nad strachem przemogła ciekawość. Rozdarłem powieki i wlepiłem je w źwierciadło z gwałtowném biciem serca. Ono miało wydać wyrok: czy Antosia kochać mnie mogła jeszcze dla mnie, czy tylko we mnie, wspomnienie przeszłości?

Spójrzałem. Ledwiem się poznał. Mocno byłem zmieniony, ale nie taką jednak, jakem się lękał, poczwarą. Ja to byłem, jakim się dawniéj znałem, trochę tylko odmienny. — Wpadły policzki, oczy głębiéj się zasunęły, po twarzy czérwone i czarne tu i ówdzie migały plamki, prawda nieznaczne, maleńkie, drobne, ale, kto wié, może niezmazane! Odsunąłem ręką źwierciadło. Nie było się

czém bardzo cieszyć, ani czego lękać tak bardzo.

— A cóż? albo nie prawda, żeś już wcale przystojny chłopiec? — rzekł stryj.

Nie odpowiedziałem nic na te słowa.

Wtém weszła Antosia; zobaczyła ona źwierciadło w ręku stryja i domyśliła się wszystkiego. Któraż-by tego kobiéta nie zgadła?

— A! a! już mój mąż zaglądał do źwierciadła — zawołała, śmiejąc się wesoło. — Dobry znak!! będzie zdrów! —

To mówiąc, stawiła u łóżka mego stoliczek i podawała mi ranny mój posiłek.

— I jakżeś się sobie podobał? — cichutko spytała po chwilce. — Ja cię znajduję niezmiernie interessującym. —

To zapytanie wydało mi się prawie szyderstwem, ubodło mnie boleśnie, i nic odpowiedzieć nie mogłem. Postrzegła to Antosia i zaraz się poprawiła, dodając zupełnie serijo:

— Doktor mówił, że i te czérwone planiki wkrótce zupełnie znikną, i żaden ślad smutnego tego wypadku, z któregoś tak szczęśliwie wyszedł, nie zostanie.

— Nie zostanie! nie zostanie! — dodał stryj — nic, prócz wdzięczności dla pięknéj lekarki, prócz wspomnienia jéj najczulszych starań, za które życzyłbym już teraz przynajmniéj podziękować. —

W téj chwili właśnie, ściskałem już rękę Antosi, i piérwsza łza, co z otwartych na światło wyszła oczu, na nią padła. Była gorąca; poczuła ją Antosia, spójrzała na mnie, a pocichu rzekła:

— To może zaszkodzić. —

Nie będę wam opisywał wszystkich uczuć i wrażeń moich dnia piérwszego i kilku następnych. Stopniowo odzyskiwałem wzrok i stopniowo wracałem do tego, czém byłem dawniéj, do ufności w siebie, zaufania w miłość Antosi, upojenia światem — nadziei. Rzekłbyś, że z oczyma otwierała się dusza, i w miarę jak one więcéj światła, ona więcéj wciągała nadziei. Nadzieja, nie jest-że to światło, przez które wszystko, co jest i co ma być widzi dusza???

I kiedy podniosły się firanki, kiedy wolno mi było nieosłonioną niczém powieką patrzeć na Boży świat tak piękny, na Antosię, byłem chwilę tak szczęśliwy, tak radośny, jak kiedym wzrok po raz piérwszy odzyskał. Miłość moja rozpoczęta się nanowo, rozpłomieniła bardziéj niż kiedy, i stała się namiętnością *toute d'une piéce*, bez wspomnień wczorajszych, bez myśli o jutrze, bez przypuszczeń zmiany. Był to kwiat rozkwitły wspaniale, na słońcu.

Ale długoż kwitną kwiaty??

Jak tylko zupełnie wyzdrowiałem, Antosia odjechała. Stryj zajmować się zaczął przygotowaniami mojego wesela. Umówiono termin, dano na zapowiedzi. Nastał dla mnie ten tak pełen roskoszy czas, między przyrzeczeniem a weselem, czas jaśniejszéj może pogody od tak zwanych miodowych po ślubie miesięcy. Codzień jeździłem rano, jeździłem wieczorem do Antosi. Siadaliśmy razem w ogrodzie, i zwijaliśmy, jak jasne wstęgi, marzenia nasze na serca; i ręka w ręku, oko w oku, (widzicie że to zupełnie, jak wszyscy), godziny, dnie całe, nieśliśmy się na kołyszących nas falach

nadziei. Co to było za życie, co za chwile! Zdawało się, że świat cały był w zgodzie z nami i pokornie służył nam, podbity naszém szczęściem. Gdybyśmy mieli dwa wieki takiego życia, bylibyśmy je przeżyli w kilku godzinach, tak leciały chwile — cóż, gdy tylko, tylko kilka zostało tygodni?

Im bliżéj stanowczéj godziny, tém Antosia była bojaźliwszą, mniéj wylaną, i częściéj obłoczek płynął po białém jéj czole, częściéj westchnęła mimowolnie, ukradkiem, jakby niedowierzając przyszłości; i ja także zamyślałem się wracając do domu.

— Nie tak-że to — myślałem — wszyscy marzą, gdy kochają i gdy się żenią? nie tak-że to każdy prorokuje sobie wieki nieprzerwane niebieskiego szczęścia? —

Zaczynałem w siebie i idealność moich uczuć nie wierzyć; zaczynałem szukać miejsca,[1] z któregobym wszystko, com czuł i co się ze mną działo, w innéj, prawdziwszéj, choć może smutniejszéj ujrzał barwie. Ale nie mogłem jeszcze. Stanowisko moje nie dozwalało mi nic widzieć, prócz lazurowych niebios nadziei.

Ktoż nie doznał, w chwili, gdy się zbliżał do długo oczekiwanego szczęścia, do osiągnienia przedmiotu pożądanego, jakiejś niewiary w siebie i to, co miał osiągnąć? Któż się nie lękał, aby ten owoc, co miał ochłodzić nam usta, w popiół się w nich nie obrócił?? I ja tego doznałem — dusza rozkołysana szczęściem, drżała także przestrachem niepojętym i bezprzyczynnym, marzyła o zawodach, domyślała się skończoności tego co sądziła, a raczéj co chciała tylko mieć nieskończoném.

Był już tylko tydzień do wesela.

Antosia stała się teraz mniéj śmiałą, mniéj wesołą, mniéj daleko swobodną. Często w ulicach ogrodu jéj rodziców, szliśmy oboje widocznie trapieni przyszłością, nie śmiejąc wyrzec słowa do siebie i odkryć sobie duszy. A po dwóch westchnieniach, dwa ciche wzlatywały pytania, dwa tak często powtarzane:

— Ty mnie nie kochasz? —

I z tego czarownego pytania wysuwała się znowu rozmowa, co nas niosła daleko swobodnych, w niezaćmioną niczém przyszłość. A po roskoszném zapomnieniu, znowu było zwątpienie, po wątpieniu pewność, i tak bez końca. Podobniśmy byli podróżnym alpejskim, którzy lekko schodzą z gór, spoczywają na ich wierzchołkach, nasycają się widokiem dalekim, i za chwilę zstępując w doliny, tracą widok, drapiąc się na strome góry, nużą się i zapominają doznanych tylko co przyjemności.

Był tylko tydzień do wesela.

W naszym domu wszystko przybierało postać świąteczną, ruch panował niezwyczajny, odświéżało się wszystko, stroiło, odmładzało, ubierało dla wielkiego gościa, któren miał przybyć — szczęścia.

Pamiętam — było to w niedzielę. Cały dzień zajęły mi przygotowania, wysyłki, rozprawy o te drobnostki, co to tak wiele zabierają czasu, a których nikt lepiéj od tego, dla kogo są przeznaczone, nie spełni. Musiałem sam tysiąc rzeczy oglądać, po inne posyłać, niecierpliwiłem się nieustannie, pilno mi było pojechać do Antosi, a ledwie wieczorem oswobodzony, siadłem na gniadego i

poczwałowałem drogą.

Gniady znał doskonale drogę i niecierpliwość moję, poleciał jak strzała; puściłem mu cugle; nogi miał pewne i nie lękał się niczego; śmiało więc zamyślić się mogłem, i zamyśliłem.

Znowu cię spytam, Czytelniku, jak w początku tego rozdziału, czwałowałeś ty kiedy na koniu, niesiony na jego grzbiecie i na myślach twoich?? Kto tak nie czwałowal nie patrząc drogi, ten nie zna jeszcze jednéj roskoszy. Ciało wówczas leci jak myśl, i człowiekowi się zdaje, że jest samym duchem, że ma skrzydła, i że za chwilę doleci gdzieś, do czarownéj, niewidoméj krainy marzeń.

Na ten raz moją krainą marzeń był dziedziniec przed domem rodziców Antosi, na który jak szalony wpadłem.

Przed gankiem stała bryczka, zaprzężona cztérma końmi karemi. Poznałem zaprząg Porucznika Wędrychowskiego, zbladłem, zatrząsłem się, i wszedłem do pokoju widocznie gniewny i pomięszany.

W pokoju jednak nikt nie mógł widzieć mego pomięszania, bo nikogo nie było; zastałem tylko stolik z przynależytościami herbaty i drzwi na ogród otwarte.

— Poszli więc do ogrodu; ona z nim! — mówiłem w sobie — ona z nim! poszli w te same miejsca, gdzie wczoraj chodziła ze mną! Profanacija! Nie powinna była iść! powinna była zostać! nie powinna była widzieć go nawet! —

Gwałtownie wzruszony wybiegłem do ogrodu. Z daleka dolatywały mnie wesołe śmiechy i rozmowa swobodna.

Na dźwięk śmiechu i rozmowy leciałem jak jastrząb na

śpiéw ptaszka; leciałem nie patrząc nawet, co się wkoło mnie działo.

— Dobry wieczór! —

— Dobry wieczór! —

Dwa te głosy witające mnie razem, zastanowiły mnie mimowolnie.

Ale to nie była ona, ani on. Ich tu nie było. Witałem się z męczarnią w piersiach, obłąkanym dokoła poglądając wzrokiem, szukając ich, podsłuchując, szpiegując.

— Pewnieś już niespokojny, Panie Adamie, o Antosię, i radbyś ją prędzéj zobaczył. Cały dzień jużeście się nie widzieli. Bież, bież, nie wstrzymujemy — ulicą na prawo. —

Nie dosłyszałem reszty i nie wiém czy była jaka reszta, pobiegłem.

A z ulicy dochodziła mnie tak wesoła, tak swobodna rozmowa! Głos Antosi odzywał się dźwięczny, miły, słodki, swobodny, jak głos słowika w noc majową. Zdało mi się, że głos jéj nigdy przy mnie, dla mnie nie był takim. I zwolniłem kroku, i słyszałem wyraźnie:

— Trzeba wybaczyć choremu, biednemu! On był doprawdy tak biedny, tak chory! —

— Ale nieznośny! — odpowiedział głos męzki — powiadam Pani, nieznośny! Będziesz Pani miała najzazdrośniejszego z mężów. Powiadają, prawda, że zazdrość dowodzi przywiązania, ale niepospolicie dręczy, a raz wziąwszy na kieł, gdy się rozhula.... —

Trzeci głos usłyszałem, i ten trzeci najbardziéj mnie uspokoił, bo nie byli sami:

— Wolałabym już zazdrośnego, niż zimno na wszystko obojętnego, którego niéma nawet sposobu wyprowadzić z odrętwiałości.

Szeptano cóś ciszéj, czego niedosłyszałem, nadszedłem i przywitałem się zimny, prawie gniewny.

Antosia zarumieniła się cała, spójrzała ukradkiem na Porucznika, on na nią.

Wędrychowski nie podał mi ręki, skłonił się tylko zdaleka, zimno, pogardliwie, wyzywającym sposobem, jakby mówił: — Mamy z sobą rozrachunek. —

Ja nie wiedziałem co z sobą począć, i dumałem: na jakiéj stopie być z Porucznikiem? Antosia tymczasem, przenikliwa jak kobiéta, dowcipnie zbliżyć nas chciała.

— Porucznik — rzekła — taki grzeczny! przyjechał, wiedząc że tu będziesz, powinszować ci wyzdrowienia. —

— Zobaczyć chyba czy'm już wyzdrowiał — szepnąłem.

Wędrychowski szatańsko usta wykrzywił i spójrzał na mnie z pode łba. Krew zawrzała we mnie. Nie wiém coby tam było daléj i cobyśmy byli mogli powiedzieć sobie jeszcze, gdyby więcéj osób nie nadeszło. Antosia, przez jakiś cudowny instynkt kobiécy, po twarzy mojéj poznawszy co się w duszy działo, wzięła mnie zręcznie pod rękę i została się ze mną za wszystkiémi.

— Widzę — rzekła — Adamie, że cię znowu zazdrość dręczy i że masz cóś na duszy. Łatwiéj to poznać niż myślisz. I gdyby to tylko dla mnie było widoczném, jabym ci nic nie powiedziała; ale wszyscy to widzieć muszą. Miarkuj co za upokorzenie dla mnie! Zmiłuj się! masz że co przeciw mnie? —

— Ja! ja! — zawołałem bełkocząc, i zacząłem jéj opisywać moję tak gwałtowną miłość, mającą służyć za wymówkę postępowania. Miłość tę odmalowałem tak niepojęcie gwałtowną, tak niesłychanie drażliwą, żem się wyexkuzował nawet z dzikiéj myśli o profanacii przechadzką z kim innym miejsc uświęconych, naszemi wieczornemi sam na sam dumaniami.

Zamilkła; uniosł ją potok wymowy spadający z mego wzruszenia, niepohamowany, spieniony, któremu żadnej racii na drodze stawić w tém miejscu nie podobna było: bo każdąby był zniósł i wywrócił. Spuściła oczy, westchnęła, potém spójrzała na mnie, potém dała mi kwiatek, uśmiechnęła się, ścisnęła mi rękę i zaczęła wypytywać o szczegóły domowe, przygotowania weselne.

Wędrychowski szedł naprzód z tą drugą panną, z którą ich zastałem; śmieli się głośno, oglądali na nas; on pogładzał wąsa, szydersko strzelał okiem na mnie; mnie się znowu przewracało w piersiach i głowie; miarkowałem się jednak ile mogłem, aby tego nie dać poznać po sobie, bo wiedziałem jak zawsze instynkt słabą kobiétę na stronę silniejszego, na stronę zwycięzcy prowadzi. Litość będzie miała dla nieszczęśliwego, miłość dla zwycięzcy, dla silnego.

Spójrzałem więc oko w oko Wędrychowskiemu, i wskazując go prawie wyraźnie Antosi, która w téj chwili pobladła, odezwałem się pół-głosem, tak, że mógł mnie posłyszeć:

— Nie pojmuję jak taki.... może choć na chwilę zająć kobiétę. —

Wędrychowski odwrócił się, spójrzał, zagryzł wąsy, zmilkł, i na tém się skończyło. Szliśmy ku domowi w milczeniu. Antosia spoglądała to na mnie, to na niego, widocznie puścić mnie nie chciała, i razem ze mną weszła do salonu przygotowywać herbatę dla mnie.

Ale zaledwie się odwróciła do stolika, Wędrychowski, który widocznie czyhał aby mnie złapać, zbliżył się do mnie i wskazał na ganek.

— Chwilkę tylko. —

— Służę Panu. —

Byliśmy już na ganku.

— Pamiętasz Pan swoje postępowanie ze mną, gdyś był chory? — rzekł. — Mogłem Mu je, jak szalonemu, wybaczyć. Kilka słów, które usłyszałem dzisiaj, wyraźnie do mnie zastosowanych, dowodzą, że i w słabości miałeś już niechęć, i dobrowolnie... —

— Na co to długo rozprawiać? — rzekłem. — Czego WPan chcesz ode mnie? —

— Czego? — rzekł — satysfakcii! —

— Najchętniéj. Proszę przysłać kogo z przyjaciół, i rzecz skończona; umówim się o czas i miejsce. —

Ledwiem tych słów domawiał, Antosia stała w drzwiach ganku i niespokojnym głosem wołała już na mnie:

— Proszę na herbatę. —

Wędrychowski się odwrócił, ja wszedłem do salonu.

Ona wiedziała już wszystko, domyśliła się wszystkiego, drżała jak liść, i musiała usiąść, aby nie upaść. Schyliła się ku mnie.

— Wy się bić będziecie? — spytała.

— O! cóż za myśl? — rzekłem — z kim? o co? —

— Z nim — z Porucznikiem. —

— Za co? dla czego? —

— Alboż ja was rozumiém? —

— Żartujesz chyba — odpowiedziałem, dość dobrze udając obojętność. Prosił mnie o pożyczenie pieniędzy. —

Spójrzała mi bystro, przenikliwie w oczy, poznała żem skłamał i nie śmiała pytać więcéj, potarła ręką po czole, wstała i wyszła. Porucznik się żegnał i odjeżdżał, schwycił ją jeszcze u drzwi i odchodzącą pocałował w rękę. Widziałem jednak, że Antosia wyrwała ją prędko, i nie patrząc, nie słuchając, uciekła.

Lżéj mi się zrobiło, gdym usłyszał dzwonki odjeżdżającego; łatwiéj mi było udawać; zacząłem wesołą rozmowę, żartowałem, śmiałem się, durzyłem siebie i drugich. A w duszy? W duszy myśl śmierci stąpała powolnie jak źwierz w klatce od jednéj ściany do drugiéj, i kołatała to tu, to tam. Czyliż nie doznał tego najśmielszy?

Jak naturalném jest bojaźń zawodu, gdy się zbliża osiągnienie celu, tak równie naturalna bojaźń utracenia szczęścia, w chwili, gdy jest najbliższe. Nie jednemu jadącemu na wesele, co chwila się zdaje, że go gdzieś na drodze spotka śmierć i poprosi z sobą, że go poniosą konie, że się utopi, otruje — Bóg wié co. Cóż dopiéro za udręczenie, gdy do bojaźni bez przyczyny, znajdzie się jeszcze przyczyna powiększająca ją setnie?

Ciągle mi w uszach tętniały pogrzebowe śpiewy, ciągle mi się przed oczyma migała Antosia w żałobie, i gdym wesoło żartował, w duszy grała pieśń smutna przeczucia

strasznego.

Księżyc wszedł na niebo, wieczór był pogodny, wonny, świéży, cudowny; wszyscy wyszli na ganek. Zastałem tu już Antosię, któréj oczy zapłakane smutnie patrzały na mnie. Straciłem siłę udawania, nagle umilkłem, i po chwili, wycisnąwszy na jéj rękу pocałunek gorący, pożegnałem ją, siadłem na gniadego, wyjechałem.

Alem już nie czwałował; koń szedł powoli, i powoli po ziemi wlokły się moje myśli; po północy dopiéro stanąłem w domu.

---

1. ↑ Niewidoczny wyraz uzupełniono na podstawie egzemplarza udostępnionego przez Wielkopolską Bibliotekę Cyfrową.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autorów: [Placyd Jankowski](#), [Józef Ignacy Kraszewski](#).*

V.

— MASZ jakiś pilny list, Adasiu! — rzekł mi stryj nazajutrz, wchodząc raniutko do mojego pokoju. — Przywiózł go najęty Tatar, i ciągle doprasza się o odpis, powtarzając, że za każdą godzinę opóźnienia mają mu wytrącić po *złotówce!* —

Wziąłem list, i poznawszy na nim rękę Wędrychowskiego, rzuciłem go prędko na ziemię, jak gdybym podjął zmarzłą gadzinę.

— Cóż-to! Czy nie przeczuwasz, mój mosanie, jakiego w tém piśmie aresztu na swoje Antosię? — rzekł mi stryj z uśmiechem niezupełnie spokojnym. — Bo od kochanych wierzycieli, których listy zasługują czasem na podobne przyjęcie, bronił cię jeszcze BÓG, jak mam nadzieję! —

— O mój kochany stryju! zgadłeś, na nieszczęście! Widzisz mię w takiém niemal położeniu, w jakiém był *Twardowski*, na godzinę przed swoim ślubem! —

— Jeśli to ma znaczyć jakiś *cyrograf*, to nie powtarzaj mi do dwóch razy, mój mosanie, bom gotow uwierzyć. Oddawca tego listu ma nos tak skąpo przedzielony[1] i ręce tak obrzydliwie czarne, że tylko przez grzeczność i na rachunek wyprawy skór, wziąłem go za Tatara; ale mało, bardzo mało braknie, aby mu złożyć honory podziemne. —

— W rzeczy saméj, kochany stryju, idzie tu ni mniéj ni

więcéj, jak o moję duszę. Propozycija dla każdego zapewne nie obojętna, cóż dopiéro dla narzeczonego, któremu już wyszło dwie zapowiedzi? —

— Bez tych galimacii! Cóż tam znowu? —

— Nic tak bardzo szczególnego, kochany stryju! Wyzwanie na pojedynek! —

— I tylko? — rzekł starzec przeciągle. Chciał on widocznie tém pogardliwém słowem odjąć znaczenie niebezpieczeństwu; a jednak *intonacija* słowa: *tylko*, była tak jakoś nieprawdopodobna, jak ono sławne *upadam do nóg!* które przodkowie nasi umieli niegdyś *skandować* tak dziwnie, odmiennie, i zawsze przecięż stosownie, we wszystkich *konjunkturach* życia!

— Tylko! — powtórzyłem tymże samym tonem, z dokładnością zielonéj papugi.

— Któż-to ci, mój mosanie, tak nie w porę zabiega drogę? —

— Twój, kochany stryju, faworycik od lewego boku, P. Porucznik Wędrychowski! — odpowiedziałem z przyciskiem.

— Patrz mi go, do stu Tatarów! A przeczytaj-no mi, mój mosanie, jakim też trybem idą dziś u was te rzeczy? —

— A przyrzekasz-że mi, kochany stryju, że raczysz być moim sekundantem w tym niedorzecznym pojedynku, i że mi pozwolisz swoich *Rejtanowskich* pistoletów? —

— Właśnie myślałem o jedném i o drugiém! Ale przedewszystkiém potrzebuję wiedzieć, jak też cię nagli twój antagonista z terminem? Bo cóżkolwiek bądź, zakładam wam dni kilka rozejmu. Ty, Adasiu, mój mosanie,

ladaco strzelasz. Jeśli więc mam być twoim sekundantem, to z góry ci zapowiadam, że to nie prędzéj nastąpi, aż wystrzelasz pod mojém okiem, do celu, przynajmniej kwartę leszczyńskiego prochu! —

Stryj mój mówił już te słowa tak obojętnie, jak gdyby szło o jakieś zwyczajne rozporządzenie gospodarskie. Zrobiło się mi zimno. Złorzeczyłem w duchu nieczułéj starości. Wyobrażałem sobie, że starzec z równąż jednostajnością umysłu gotow-by był wydawać rozkazy podczas mojego pogrzebu. I wnet z tą myślą przeniosłem się do Antosi: widziałem ją omdlałą na pół-godziny, dwie godziny płaczącą, przez dzień cały zamkniętą w swoim pokoju i nie przyjmującą pociech; potém w przeciągu całego tygodnia posyłała ona na mszę za moję duszę, i modliła się klęcząc z twarzą zasłonioną; nie widywała się z nikim prócz z rodzicami; przechadzała się samotnie po ogrodzie, i to dopiéro o zmroku; nie przyjmowała nic do ust, prócz herbaty, i to za wielkiém uproszeniem; na widok broni lub na wspomnienie Wędrychowskicgo dostawała serdecznego śmiechu; zapomniała o swoich kanarkach, nie zajrzała nawet ani razu do źwierciadła: trwało to spełna dni ośm. Dnia dziewiątego zrana, niespodzianie wbiegła do jéj pokoju *Elżusia*, taż sama wesoła, pełna trzpiotalstwa i dobroci serca Elżusia, którę-m zastał wczoraj samotrzeć z nią i z Wędrychowskim w ogrodzie. Antosia krzyknęła na jéj widok, ukryła twarz w poduszki, zanosiła się od płaczu. Ale dobra Elżusia uklękła przy jéj łóżku, opanowała jéj ręce, i nuż ją całować w ręce, nuż zaklinać na pokój ostatnich dni rodziców, których ta jéj rospacz dobija,

którym tak niewiele potrzeba, aby już już obłożnie zaniemogli, nuż przedstawiać podobne przykłady, od początku świata zdarzone, (a które miały się zdarzyć, nie daléj jakoby jak tego roku i w naszym powiecie): jak oto biedny N., powracając od ślubu, i wyskakując z pojazdu, zabił się na miejscu w oczach rodziców, którzy go czekali na ganku z błogosławieństwem! To-to dopiéro była boleść serca dla biednéj panny młodéj, siedzącéj jeszcze w pojeździć, i dla nieszczęśliwych rodziców! Jak inny Pan R., jadąc konno w wiliją ślubu do swojéj narzeczonéj, i ujrzawszy ją na przeciwnym brzegu rzeki, że chustką dawała mu znaki, skoczył na koniu do rzeki, którę nie dwadzieścia może razy wpław przebywał, na tymże samym koniu — skoczył, i więcéj się nie ukazał. (Zdradziecka Elżusia widocznie utworzyła ten opis podług zgonu Księcia Józefa Poniatowskiego, którego obraz tylko co, gdy przechodziła przez salę, wpadł jéj w oko). Jak inny, najbiedniejszy może ze wszystkich, Pan Z. natychmiast po ślubie, ze zbytku szczęścia dostał obłąkania, ale tak dzikiego, że chciał strzelić do własnéj matki, że omal nie udusił żony, że poranił braci, i wydarłszy się z ich rąk nakoniec, rzucił się z trzeciego piątra na ulicę. (Jak *Berthier!*) To-to były prawdziwe nieszczęścia, prawdziwe ciosy! I rospacz w takich razach mogła się nazwać godziwą: bo samo Niebo jakby dało i cofnęło swe przeznaczenie! — Gdy przeciwnie ten biedny Adam — pomyśl tylko sama! — widocznie nie był ci sądzonym! Od czasu jak on wzrok stracił, i potém niby odzyskał, wszyscy lekarze mówili, że to nie na długo. Musiałby więc on być ślepym koniecznie.

(I dla czegoż *koniecznie?*) A wtedy jakież-by było twe życie z kaleką? (Co? z kaleką?) Podobało się Niebu doświadczyć twojego poświęcenia się, i tyś je uczyniła. Doglądałaś go i pielęgnowałaś w chorobie z czułością najlepszéj siostry. Byłaś gotową oddać mu nawet swą rękę. Ale widać nie była potrzebną ta ostatnia ofiara. Możebyś jéj nawet nie podołała! Podziękuj więc BOGU, że nie dał ci, podobnie jak Abrahamowi, dokończyć ofiary. — Ale spójrz przecię, odezwij się mi, Antosiu! mówię do ciebie, jak sam pleban! — przydała Elżusia wesoło, i pochwyciwszy rękę swojéj przyjaciółki, pocałowała ją znowu, raz i drugi. Widziałem sam, że nie podobna było nie ożyć na takie zaklęcie; widziałem, jak moja Antosia podnosiła głowę, jak rzucała się ze łzami w objęcia swojéj przyjaciółki, jak plakaty obie, tuląc się twarzą do twarzy; jeszcze kilka głośnych wyrzekań, kilka cichych pociech, uścisków; wreście na prośbę Elżusi, wyszły obie do ogrodu, dla ożywienia się świéżém powietrzem, i pocieszenia kochanych rodziców choć tą wywalczoną spokojnością, która będzie w pewny sposob najmilszą ofiarą Niebu, bo zapewne najtrudniejszą. Jakoż dobroczynne powietrze w rzeczy saméj ożywiło mą narzeczoną. Dała się ona widzieć, po raz piérwszy, przy śniadaniu, z twarzą wprawdzie niewymównie smutną, cierpiącą, ale przynajmniéj z suchemi oczyma, przynajmniéj odpowiadała na zapytania rodziców, i nie wołała śmierci, i na znak pojednania z życiem, piérwszy raz piła herbatę ze śmietanką i z biszkoktem. Po śniadaniu, na prośbę matki, dała się zawieśdź do ulubionego gaiku, gdzie stal krzyż ofiarowany

przez nią za duszę babki; u krzyża wysiadły z matką z pojazdu i modliły się długo, długo. Widziałem jéj łzy, słyszałem jéj modlitwy za sobą; widziałem, jak ją bolała ta myśl, że mi Kościoł odmówił chrześcijańskiego pogrzebu! — I oto czyni ona ślub wystawienia w tym samym lasku krzyża, i odmawiania codzień zrana i wieczór modlitewki za moję duszę. Po tém postanowieniu, pokrzepiona modlitwą, spokojniejsza na sercu, jak gdyby stało się już zadość wszystkim obowiązkom, do jakich mogą mieć prawo śpiący w mogile, powraca do domu. Reszta dnia i jeszcze kilka następnych, przechodzą w tym cichym smutku, jaki daje się widzieć przy donaszaniu żałoby. Każdy wtedy pilnie się strzeże wspomnieć o przedmiocie straty; osoba kończąca żałobę nie pragnie i w pewny sposob lęka się nawet tych wspomnień: zawiera się więc jakby rodzaj umowy, na mocy któréj wszyscy obowiązują się do milczenia. I dzięki ścisłemu zachowaniu téj umowy, powoli powoli zjawia się nakoniec wybolały kiedy niekiedy uśmiech, otwierają się stopniami oczy na powaby przyrodzenia, dozwala się sobie niewinnéj melancholijnéj roskoszy muzyki, pielęgnuje się z upodobaniem kwiaty, zrazu smutne i zielone tylko krzewy, jak naprzykład cyprys, rozmaryn, potém tkliwe bratki, powoje, hijacynty, skromne lilije i lewkonije, daléj, daléj róże, georginy, tulipany, kamelije i agapanty. Od kwiatów przechodzi się sercem do ptasząt, do kanarków, do słowika, którego śpiew tak harmonijnie zlewa się z bolejącą duszą — aż jednego poranku, daleki zapomniany przyjaciel — (tak opiewa list bezimienny) — przysyła w darze piękną białą z ponsowym

czubem papugę, która zaledwie przyniesiona, zaczyna wołać: *dość płakać!* — Kochany mój ptaku! — myśli sobie Antosia — choć ty mię pożałujesz! — I odtąd przywiązuje się do papugi. Jakoż wkrótce pochlebny ptak umié sobie zaskarbić przyjaźń, usiada poufale na ramieniu swéj nowéj pani, przyjmuje z jéj ust cukier, muska się dziobem po jéj szyi, i towarzyszy nieodstępnie w przechadzkach po ogrodzie. Raz nad wieczór, Antosia, siedząc w altanie, czytała tylko co przysłaną od Elżusi książkę, pod tytułem: *Nierozsądne śluby*; czytała ją z zajęciem, bo treść książki była jakby osnutą z jéj wspomnień; wtém cichy szelest daje się słyszeć przy altance; papuga dosłyszała go najpiérwsza, i nagle zlatuje z ramienia swéj pani, przesiada na rękę klęczącego u wejścia do altany mężczyzny, i woła potrzykroć: *Przebacz!* — Antosia krzyknęła mimowolnie, zakryła rękami oczy, lecz zakryła już niemi — jak gdyby zdjęła z ziemi — i obraz klęczącego mężczyzny. Miał on rękę przewiązaną, łza błyszczała w jego czarnych oczach, mówił głosem cichym, drżącym, ale dźwięcznym, pełnym jakiegoś uroku, w te słowa: — „Jeślibym został zabitym, (bo piérwszy strzał należał temu, którego zawsze opłakiwać będę), miałbym prawo choć do twojego westchnienia, Pani, choć do jednéj twéj łzy i modlitwy; teraz, nim stąd na zawsze ustąpię — co mi jest cięższém od śmierci — śmiém cię błagać, Pani, przebacz mi boleść, jakiéj cię raz jeszcze nabawiam mym widokiem — i w imie Nieba, przebacz mi wszystko, przebacz!” —

— *Przebacz! przebacz!* — woła niegodziwa papuga, dar, jak się pokazało, Wędrychowskiego.

— Oby mu tylko tak BÓG przebaczył! — odpowiada Antosia słabym i stłumionym głosem.

— A tyż mi, Pani, przebaczasz? — szepce przeklęty Wędrychowski. — Pobłogosław mię tém słowem na tułactwo całego życia.... Odjeżdżam do Ameryki. —

— Nie przeklinałam go nigdy i przeklinać mu będę. —

— Dzięki! dzięki! —

— *Dzięki!* — powtórzyła nieznacznie trącona od Wędrychowskiego papuga, i z umizgiem przeleciała do swéj pani.

Nastała chwila milczenia. Antosia zebrała się nieco z myślami. A piekielny ptak wrzeszczał jéj ciągle nad uchem:

— *Dość płakać! Przebacz! Dzięki!* —

— Bądź mi więc zdrowa, *Koko!* — rzekła Antosia, gładząc papugę. — Winnam Panu — przydała, obracając się do Wędrychowskiego — podziękowanie za jedyną i ostatnią moję rozrywkę. Teraz wróć, *Koko*, do swojego pana! —

— *Przebacz!* — gadała wściąż papuga.

Wędrychowski umiał skorzystać z chwili. Postąpił na kilka kroków, rzucił się znowu na kolana, i mówił tak czule, tak namiętnie, tak bezczelnie, o swojéj rospaczy i o Ameryce, dopraszał się z takiemi zaklęciami jednego tylko i ostatniego słowa *przebaczenia*, że nie podobna go było odmówić wybierającemu się do drugiego świata, tak jak niepodobna-by było odmówić prośbie umierającego.

— A więc nie mówmy już o tém! — rzekła Antosia powstając. I wyszli z altany. I poszli, niby machinalnie, ulicą wiodącą nie do domu, ale wgłąb’ ogrodu. I z powodu

zachodzącego słońca zaczęli rozmowę o Ameryce, o wiecznym rozdziale z ojczyzną, o jakiejś nieszczęśliwéj konieczności, ścigającéj, zda się, wielu ludzi, o innéj niemniéj nieszczęśliwéj konieczności, która środkuje otchłanią między wielą ludźmi. Wędrychowski zaczął opowiadać z tego tekstu jakąś rozdzierającą serce historiją sieroty, którę w kolebce jeszcze dotknął los żelazny, która nie widziała nigdy uśmiechu matki, nie zaznała nigdy pieszczot rodzicielskich, która przez całe życie zależała od niechętnéj łaski łudzi cudzych, która w dzieciństwie nie śmiała nigdy wynurzyć swych życzeń, próśb, nadziei, musiała pod rozkazem uśmiechać się śród boleści, i z tym uśmiechem, który nie dozwolił jéj nigdy błagać spółczucia bliźnich, ale przynajmniéj zabezpieczył od ich pogardy, została wyprawioną na świat, i skazaną tułać się po nim samotnie. — To moje przecierpiane już życie! — przydał on chwiejącym się głosem. — Nikt przecięż nie słyszał ode mnie téj powieści, i nie posłyszy drugiéj jéj połowy: ho ta będzie nie na tym już świecie! — I wskazał ręką na ziemię — nie wiadomo czy sięgając tém patetyczném skinieniem tylko do głębokości grobu, czy też na wskróś — do Ameryki?

Antosia niewymównie wzruszona, poglądała nań pełnémi łez oczyma! Wędrychowski upadł na kolana, ucałował niebronioną mu rękę, zakrył twarz kapeluszem, powstał z pośpiechem i zniknął. Ale niegodziwa *Koko* poleciała za dawnym swym panem. — A więc nazajutrz, o téj saméj godzinie i na tém samém miejscu, jak gdyby obie strony dały sobie najuroczystsze słowo, kończy się

przerwane wczorajszą boleścią, ostatnie pożegnanie. Rzecz dziwna wszakże! szlachetny Porucznik ma sobie do wyrzucenia — jak powiada — te wczorajsze niewinne łzy Antosi, które spadły *jak niebieska rosa na piasek pustyni jego przeznaczenia!!* Ani wspomina więc już o Ameryce. Przybył on tylko — tak mówi z wymuszonym uśmiechem — odwieśdź zbiega *Koko,* aby żadna żywa istota nie dzieliła jego losu — i oddalić się na zawsze! — Jakoż kończąc te słowa, oddala się w rzeczy saméj, ale z tym pośpiechem, z jakim idzie na śmierć skazany, *krok na przod dwa nazad*.

— *Zostań!* — woła *Koko*. Biedna! całą bezsenną noc uczyła się ona téj lekcii.

Wędrychowski ze śmiertelną niespokojnością oczekiwał tego słowa, i już nie dziesięć razy przeklinał w duchu niepojętność ptaka. Więc najszczérzéj, najnaturalniéj nawet, zadrżał on oto z radości, i obraca się z pytającym wzrokiem: — jakiż-to anioł go woła? kochanka? czy papuga? —

Ale Antosia zasługuje widocznie na to przypuszczenie, bo się niém nie obraża.

Pół wierzy ona, pół nie wierzy w całą tę komediją; patrzy wszakże za oddalającym się ze łzami: i jakżeby znów te łzy go nie odwołały?

Jeszcze jedna, dwie podobne sceny, i wszystko zapomniane. Podróż do Ameryki odkłada się z powodu upuszczonéj już pory do żeglugi. Jest ona jeszcze przez kilka tygodni przedmiotem rozmów tkliwych i sentymentalnych; po kilku tygodniach staje się

przedmiotem żartów, napomknień i postrachów, które widocznie nie spełnią się nigdy; a tymczasem zamiar wystawienia krzyża w gaiku idzie jakoś w zapomnienie, modlitwy za moję duszę *redukują się* na coraz krótsze codzień westchnienia, nakoniec... — O cóż to za okropny ten dar myśli i wniosków! — W przeciągu jednéj *czarnéj* chwili, człek może przemarzyć i doznać sercem więcéj katuszy, niż marząc przez lat dziesięć o szczęściu!

— Strzał pierwszy do ciebie należy! To tylko jedno mi się nie podoba! — rzekł mój stryj, który w ciągu téj chwili również głęboko myślał o naszym pojedynku. Na dziesięć podobnych zdarzeń, trzech nawet nie umiém sobie przypomnieć, mój mosanie, w którychby się powiodło, jak należy, piérwszemu strzelającemu! Jakoś, moje dziecię, człek nie ma serca do odjęcia życia bliźniemu, który został przez nas obrażonym, i milczący, z otwartą piersią, stoi przed nami, jak gdyby naglił groźnie: — Odbierz mi więc życie, kiedyś mi odebrał honor! — Okoliczność ta odejmuje śmiałość i pewność u najwprawniejszéj nawet ręki. Gdy przeciwnie, wyzywający po odebranym już strzale, który najczęściéj zadaje mu tylko lekką ranę i jątrzy go niejako, ma po sobie wszystkie, w podobnych razach potrzebne korzyści! —

Łatwo zgadnąć, jak mi były te uwagi po sercu?

— Ale przeczytaj-że mi ten list, mój mosanie, bo trzeba cóś przecię odpowiedzieć posłańcowi.

Powodowałem się machinalnie. Podjąłem list, oddarłem

pieczęć, i przeczytałem w głos, nie rozumiejąc co czytam, jak następuje:

— „Porucznik Wędrychowski jutro, to jest, dnia 28 maja o godzinie 10 zrana, ma honor oczekiwać Pana Adama * pod laskiem *sytuowanym* o jakie pięćset kroków od folwarku *...inicz*, należącego niegdyś do familii *Wędrychowskich*, a dziś będącego w posiadaniu Pana Adama. Wybór tego miejsca, i ta mocno powodująca okoliczność: że jeden z nas znajdzie się *między ślubem a grobem*, nastręczają samę *propozyciją:* czyliby nie było z rzetelném dobrem Pana Adama, aby na ziemi, którą tak długo władali Wędrychowscy, uczynił on formalne jéj zrzeczenie, i na dowod umorzenia niemiłéj sprawy i wznowienia przyjacielskich stosunków, przyjął w ....iniczach śniadańko od niżéj podpisanego, który będzie już miał *w téj mierze* skrypt należycie uprawniony, tudzież wszystkie potrzebne *akcessorija* śniadaniowe; a dla uniknienia głośności, weźmie za sekundanta Pana Rejenta S., znanego powszechnie z zalety rzadko chodzącéj w parze, *do pióra i do pałasza!* W przeciwnym razie, gdy los pojedynku zwykł bywać tak wątpliwym, Pan Adam raczy przyjąć z serca pochodzącą radę, aby uczynił zadość obowiązkom sumienia, i ślicznie pożegnał drogie mu osoby.”

— O przeklęty *brawura!* tchórz maskowany! istny tchórz, mój mosanie! I w dodatku Izraelita! — Daj mi, Adasiu, szpargalik papieru. To nie może mu ujść płazem! Ja mu sam odpiszę! Już ja mu odpiszę!! — I nie czekając mojéj posługi, z tą żywością, któréj lat siedmdziesiąt

uchodzić nie mogły, oddarł białą połowę listu Wędrychowskiego, i wnet ją zapisał tym bujnym, szablistym charakterem, jaki widzimy na podpisach Jana III.

1. ↑ Sekret to jest gminu, ale należycie sprawdzony, że szatan, z przeproszeniem, nie ma dziurek w nosie.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autorów: [Placyd Jankowski](#), [Józef Ignacy Kraszewski](#).*

VI.

WIELE, a może nadto nawet pisano już o pojedynkach przeciw pojedynkom, czyniono wiele, aby im zapobiedz, wysilano się na rozumowania, na wykrzykniki, na morały. Weszły one jednak tak głęboko w zwyczaje wszystkich niemal narodów, iż ich niczém zastąpić nie można. Wszyscy, co się biją, powtarzają sami, że czynią głupstwo, aby zadość uczynić zwyczajowi; wszyscy narzekają na nie; nikt się podobno nie zastanowił, że sam fakt tak uporczywie trzymającego się zwyczaju dowodzi już niejako jego potrzeby, jego konieczności. Zmieńmy obyczaje, ustanówmy nowe prawa na wypadki rozstrzygające się bitwą pojedyńczą, a wówczas dopiéro usuniemy pojedynki. Nadewszystko przestańmy dawać do nich powody, lub gdy się znajdą, zgodźmy się na jaki sąd, coby mu wszyscy posłusznemi być chcieli i z jego rąk pokutę wyznaczoną z pokorą świętą przyjmowali. Lecz skoro, uwielbiając jedyny może w naszych czasach przykład *Boduina*, i wiedząc o nim wszyscy, zamilczamy przecięż z zamiarem o tym pięknym wzorze, i o świętéj ustawie, która go natchnęła, czyliż mamy jakie prawo hałasowania na pojedynki i na tak zwane *kondescensije?* Śmiać się z nich, oświadczając *kondescendentóm*, iż mamy w pogotowie nabite krucice, nie jest-że to kończyć tak samo (przepraszamy za porównanie),

jak kończy znamienita satyra o pijaństwie:

— Bądź zdrów! gdzie idziesz? napiję się wódki!

Całą noc poprzedzającą spotkanie z Wędrychowskim spać nie mogłem. Część jéj poświęciłem na ułożenie moich interesów, pisanie listów, część przepędziłem na dumaniu gorączkowém. Ogłuszony byłem myślą śmierci; w uszach tętniało nieustannie: — Umrzeć! umrzeć! —

Przez otwarte na ogrod okno spoglądałem na noc majową, spokojną, a tak cudowną, tak uroczą, że patrząc na nią, podwójnie świata żal było. Ona zachęcała do życia, ona przemawiała życiem, miłością, roskoszą, szczęściem. Taka była zgoda w naturze, taka harmonija! Wszystkie barwy zlały się w jedną pod światłem księżyca; wszystkie wonie majowe, w jeden zapach rajski; wszystkie dźwięki, w jeden głos słowiczy. I na tém tle harmonijném, wielkiemi czarnemi głoskami dla mnie jednego pisało się to straszne słowo: — Umrzeć! —

Wszystkiego żal mi było: Antosi, nadziei, młodości, świata, maja, księżyca, słowika i życia.

— I cóż to człowiek? — pomyśliłem. — Dumny król tego królestwa, co jego żałoby nie dzieli, co nieposłuszne w chwili zgonu śpiewa mu życiem na przekorę, świeci blaskami, których widzieć więcéj nie będzie, wonieje roskosznemi wyziewy. A on śmié się nazywać królem świata! Głupi! stokroć głupi! Kropla rosy na kielichu kwiatu równie jest królem jak on. —

Sparty na ręku, dumałem w oknie, a w głowie mojéj czułem coraz to gorętszą wrzawę. Oczy wlepione na wschód, śledziły blask zorzy, co od zachodu przechodząc,

już już miała się ukazać na niebie. — Jeszcze godzina — mówiłem w duszy — a wejdzie dzień biały, dzień jasny, może ostatni! Może piérwszy długich męczarni kalectwa! —

Głos poczciwego stryja obudził mnie z dumania, któreby było trwało do rana.

— A co to? modlisz się, czy płaczesz? Fi do licha! Adasiu! hę? Baba! Oj! oj! a chwalicie się cywilizacją waszą, a udajecie cóś od nas lepszego! Tymczasem zaledwie śmierć choć zdaleka wam się pokłoni, jużci trwoga! Póki gadać, szermować językiem, paplać, to-to wy zuchy, to-to mistrze! Za naszych czasów, mój mosanie, nie tak bywało! Mniéj umieliśmy, to prawda, mniéj gadali, ale niczego się nie przelękli, i w każdym razie radę sobie dali. Życiem rzucaliśmy jak piłką, nie turbując się czy złapiemy ją znowu w ręce, czy na ziemię upadnie. No, ale tandem, mój chłopcze, kiepskoś zrobił, żeś się spać nie położył; to uspokaja i siły dodaje. Ale gdzie to wam spać w takiej konjunkturze? Staryby to chyba potrafił! A kiedyś już wstał, czy nie dobrzeby było jeszcze z kilka razy do celu wystrzelić? —

— Na co? — odpowiedziałem. — Cale to co innego strzelać do celu, a co innego strzelać do człowieka. Panu Bogu to oddajmy. —

— Trzeba to sobie było od początku powiedzieć. Nie byłbyś strawił nocy bezsennéj nadaremnie, i lepiejbyś dziś wyglądał. Tandem już i dnieje; ale mamy do dziesiątéj godziny kawał jeszcze czasu przed sobą. Skończyłeś już zapewne z papierami. —

— Skończyłem — odpowiedziałem krótko.

— I nie myślisz zasnąć trochę? —

— O, nie! nic chce mi się. —

Stryj ruszył ramionami. — Nie pojmuję — rzekł — co to będzie z następną generacją? Z was porodzą się chyba cienie ludzi, nie ludzie! Świat się musi skończyć, a do tego i brzydko się skończy na takich słama..... —

— Ależ nie kończcie, stryju! Macie mnie za tchórza, jak widzę, gdy wcale nim nie jestem, i pewnie ci wstydu nie zrobię — przerwałem trochę obrażony.

— Nie o to chodzi — odpowiedział. — Wiém, że się nie ulękniesz; ale po kiego licha dumać całą noc, wzdychać (boć to ja widziałem i słyszałem). To dowodzi zawsze niespokoju; a tu najwięcéj spokojności i determinacii potrzeba. —

— Ależ w mojém położeniu! —

— Alboś to piérwszy, mój mosanie, co się za dziewczynę bijesz? Ot, wiész co? wyjdźmy na świéże powietrze, to cię orzeźwi. —

— Dobrze. —

Stryj otworzył szklanne drzwi na ogród, i wyszliśmy oba. Ranek był, jakby na przekorę, cudowny. W oddaleniu podnosiły się czarodziejskie mgły, co tak ubierają widok, jak gazowa zasłona młodą narzeczoną; trawy, zboża, krzewy, jaśniały tą młodą zielonością, która raz tylko w rok je zdobi; słowik jeszcze śpiewał bezsenny, a z oblanych rosą kwiatów płynęły wonie, co się aż w duszy czuć dawały.

Westchnąłem wychodząc.

— Oj ta wiosna, mospanie! — rzekł stary — czarownica, i mnie za serce chwyta nawet, a nie wiedzieć dla czego, młodość zawsze przypomni! Patrzaj-no, Panie Adamie! dalipan mieli rozum ci, co skomponowali w jakimś tam Edenie nieskończoną, wieczną wiosnę. Byłaby to niezła rzecz; tylkoby się nie trzeba i ludziom już starzeć. —

Nic nie odpowiedziałem; czułem i ja piękność wiosny, i na wschód patrzałem, co się rumienił, złocił powoli, otrząsał chmurki i mgły, i gotował tron dla słońca, które wejść miało nad czarodziejskim wiosennym krajobrazem.

— Umrzeć! — zatętniało mi w uszach i duszy — umrzeć na wiosnę! —

Te słowa wyrzekłem pół-głosem mimo woli.

— Jużciż, mój Adasiu, kiedyś taki potrzeba koniecznie odbyć to salto mortale; lepiéj-że więc na wiosnę pójść na tamten świat z wiosennych wrażeń pełną duszą. A ma się umierać, to czy dziś, czy jutro, prawie jedno; zawsze konając, cała przeszłość dwódziesto czy sto-letnia, jak jeden punkcik. Mówicie Waszmość po swojemu tam: umrzeć nie skosztowawszy życia. Et! brednie, mój mosanie! a jakbyś go skosztował, jakbyś go się najadł do sytości, to co ci z tego, gdy umierać potrzeba? Ot, wiész co? Adasiu! dalipan wszystko głupstwo na tym świecie, a człowiek, co to serijo bierze i lamentuje, taki, mojém zdaniem, błazen. —

Stary, dodając mi tak odwagi, kiwał ręką, potrząsał głową i poglądał na mnie z uśmiechem. Słuchałem go tylko pół-uchem, myśląc w duchu: egoista! Przechadzaliśmy się lak cały ranek po ogrodzie, aż o w pół do dziewiątéj

zaprzężono konie i wyjechaliśmy na plac.

— Czém wcześniéj, tém lepiéj — rzekł stryj. — Pojedziemy wolno, odpoczniemy na miejscu. Pan Porucznik myśli zapewne, że łatwa z nami zgoda, i tentuje umorzeniem processu; ale mam cię za cztéry litery, jeśli choć dozwolisz rozpoczynać układy. Ferm! mosanie, a Pan BÓG z nami, nic nam nie będzie! Mam przeczucie; bądź spokojny; jeśli zechce przeprosić i pójść z kwitkiem, to dobrze; ale żebyśmy się mieli napastnikowi opłacać, kwitując z folwarku i processu, zje trzy tysiące djabłów! —

I mnie też chęć zemsty rozpalała. Nienawidziałem Wędrychowskiego, co mi rozbił moje szczęście tak szkaradnie, co jakby naumyślnie robakiem wtoczył się, aby rozgryść moję nić złotą. Im bardziéj zbliżałem się do miejsca wyznaczonego, tém bojaźń, żal życia ustępowały, chęć pomszczenia się, pragnienie krwi wrzały w sercu.

— Zabiję go — mówiłem w duszy — zabiję! —

— A jeśli on ciebie zabije? — odzywał się z kątka głos cichy.

Usta mi się wykrzywiły, oczy słupem stanęły; uśmiechnąłem się. W téj chwili zastanowiliśmy się niedaleko folwarku; wyskoczyłem z bryczki, obejrzałem — nie było nikogo.

— Jeszcze ich niéma — rzekł stryj. — Roztassujem się i będziemy czekali. —

To mówiąc i dając rozkazy słudze, stary z pistoletami pod ręką wylazł powoli, i obejrzawszy się raz jeszcze, skierował ku olszynie za dworem.

— Doskonałe miejsce — rzekł. — Pamiętaj — dodał —

nie stawaj przeciw słońcu, ale plecami na wschód. Żeby zaś wiedzieli że już jesteśmy in loco, trzeba wystrzelić pistolety. —

— Będą myśleli — odezwałem się szybko — żeśmy już kwapiąc się przed dziesiątą plac ostrzelali. —

Stryj kiwnął głową. — Co mam wykręcać, to wolę wystrzelić. —

To mówiąc, zmierzył do gałęzi i zbił ją, wziął drugi pistolet, i równie mu się udało.

— Dobry prognostyk! — zawołał wesoło. — Teraz czekamy Ichmościów. —

W oddaleniu poznałem po brzęku dzwonków jadącego Wędrychowskiego; na huk wystrzałów widocznie popędzono konie, które spienione czwałem leciały, i zatrzymane o kilkanaście kroków od nas, wryły się w ziemię. Na bryczce siedziało ich dwóch: mój przeciwnik i sławny Pan Rejent, którego zaraz opiszę. Szepnęli cóś do siebie wysiadając, i Porucznik, niby szukając broni czy nie wiém tam czego, w bryczce przyzostał, a ku nam sam tylko posunął się Pan Rejent.

Rejent S., był to stary wyga, ostatni może szczątek téj sławnéj palestry dawnych czasów, co na wschodach trybunalskich uczyła się jednocześnie pisać pozwy i kiereszować łby.

Wysoki, chudy, z podgoloną posiwiałą już pałką, w plecach széroki, ogromnéj ręki, żylastego składu, podobniejszy był na piérwszy rzut oka do żołnierza, niż do prawnika. Gęste blizny po czole wygoloném i twarz szramą żółtą rozdarta, dowodziły walecznych bojów. U prawéj ręki

brakło mu piątego palca; a więcéj daleko jeszcze pamiątek swéj junakerii nosił pod granatową czamarą. Siwych oczu, długiego spiczastego nosa, wystającéj brody, ogromnego wąsa, przypominał nie wiém czém przesławnego bohatéra z Manszy. Po korda, do pistoletów, do butelki i do pióra, jedyny. Bił się w pałasze sławnie, strzelał i nizał kule na ćwieczki, pił jak smok, a pisał z niepospolitym ogniem, zjadliwością i znajomością form sądowych. Nikt od niego piękniéj nie umiał wystawić najgorszéj sprawy, nikt patetyczniéj odmalować ucisku klijenta, nikt kruczków więcéj natworzyć. Stary, nie stérany jednak, jeszcze sekundował w pojedynkach, lubił hulankę i wiódł processa. W żadnym razie nie tracił odwagi i przytomności umysłu; i gdzie drudzy nie widzieli sposobu wywikłania się, on ich tysiąc odkrywał. Pamięci rzadkiéj; na zawołaniu miał nie tylko swój wyćwiczony koncept, ale wszystkie poprzedników swoich finessy. Była to chodząca kronika Wileńskiego i Mińskiego Trybunałów.

— Do stóp się ścielę! — zawołał ogromnym głosem, podchodząc. — A cóż to Waszmość, nie doczekawszy godziny, plac chcecie ostrzelać? —

— Do nóg upadam — ozwał się stryj, zbliżając się ku niemu. — Nie bójcie się, dotrzymamy; i jest jeszcze czém nabić nanowo. Tymczasem wystrzeliłem pistolety, aby je oczyścić; bo stary był w nich naboj. —

Rejent, słuchając niby, rzucił na mnie okiem, mierząc widocznie z drwinkowatą miną moję odwagę, którę na schyłku znaleźć się spodziewał. Ale ja, prawie przewidując to wejrzenie, nastawiłem marsa, w którym całą moję złość i

obrazę odmalowałem. Rejent zwrócił się do stryja i pociągnął go na stronę.

— No, jakże to będzie? — rzekł, spodziewając się, że przyjdzie do układów.

— A jakże ma być? Mości Rejencie! Będziemy się bić, i kwita. —

— Ale naszym obowiązkiem — przerwał Rejent — Mości Dobrodzieju! naszym obowiązkiem umitygować powaśnionych, i, jeśli można, doprowadzić ich do zgody, unikając krwi rozlewu, i.. —

— Zapewne — odparł stryj dobrzeby to było. —

Rejent spójrzał w oczy stryjowi, i nie dając mu dokończyć, rzekł:

— Ot tak: niech Pan Adam podpisze — i sięgnął za nadrę po papier — podadzą sobie ręce, wychylim butelczynę, zaprosicie nas na wesele, i kwita. —

— Co podpisze? — spytał stryj.

— A! jużciż wiécie: zrzeczenie. —

Stary stanął przeciw Rejenta, i w milczeniu podnosząc palec prawéj ręki, począł nim i głową kręcić.

— A za kogoż, do millijona kaduków, nas macie? hę? —

Rejent musnął wąsa, i splunął poglądając w stronę Wędrychowskiego, który jeszcze czegoś w bryczce szukał i brząkał to pałaszami, to probował kurków w pistoletach.

— Bo to widzisz, szanowny Panie, Łaskawco! — dodał — kiedy można tak skończyć spokojnie.... —

— A bardzo dobrze. Niech Porucznik Adama przeprosi, damy sobie ręce, i kwita. —

— On jest obrażony! — wykrzyknął Rejent.

— Zatém niech się strzela — odparł mój stryj. — Dajmy pokój daremnym gawędóm, mierzmy plac, nabijmy broń, i dość. —

Stryj postąpił kilka kroków, Rejent go za rękę chwycił.

— Ej no! pomiarkujcie się! Toż on ma się żenić! — Czyż jemu pora teraz się strzelać? —

Stary ruszył ramionami, i nic nie odpowiedziawszy, poszedł ku mnie; Rejent pobiegł do Wędrychowskiego. Nie wiém o czém i co, ale żwawo z sobą gadali; potém Porucznik zeskoczył z bryczki, i cóś zawoławszy do ludzi, szparkim krokiem zbliżył się do nas, nastawiając się i buńczucząc.

Ukłoniliśmy się sobie: on z ironiją niejaką, którą mnie chciał zastraszyć, ja z niechęcią. Tymczasem sekundanci mierzyli plac i nabijali broń. Rejent rzucał okiem na Wędrychowskiego, to na mnie, zaczepiał stryja, który milczał jak opoka i widocznie ukończenie przygotowań do pojedynku odwlekał.

Po chwilce Porucznik zaczął niecierpliwie się kręcić, poczesywać czupryny, muskać wąsa, chodzić, pokaszliwać. Widocznie opanowywała go niespokojność, nareście ozwał się do mnie:

— Nie masz Pan jakich poleceń dodania, w razie, jeśliby... — Chciał drwinkować, ale głosu mu brakowało.

— Dziękuję — odpowiedziałem sucho. — Polecenia moje najlepiéj stryj spełni. —

Wędrychowski zamilkł. Widziałem jak pragnął zgody, jak chciał junaczyć, a tu i wątku i odwagi nie było; a w miarę, jakem go widział tchórzącego, mnie przybywało

rezonu. Po długich zwłokach, postawiono nas na miejscu, podano broń. I mnie serce zabiło. Ja miałem piérwszy strzał. Stałem naprzeciw Porucznika, któren blady był jak ściana i z podniesionym pistoletem czekał mojego wystrzału. Z dość zimną krwią wycelowałem do prawéj ręki jego, którą nawpół podniesioną trzymał, i zimnéj krwi to zapewne winienem, żem go trafił w sam skład na łokciu. Jednakże po moim wystrzale miał jeszcze siłę nieco podnieść rękę i pociągnąć cyngiel. Wypalił, ale mi tylko drasnął kostkę u nogi.

Dopiéro wówczas poczuć musiał ból w ręku, bo się schwycił za nią. Co do mnie, nie wiedziałem nawet o mojéj ranie, i zobaczywszy krew na jego ręku, razem ze stryjem i Rejentem podbiegiem ku niemu. Rękę miał w samym łokciu przestrzeloną na wylot, krew strumieniem się z przerwanych żył toczyła. Wędrychowski klął mnie i cały świat, wyrzekając na swój wypadek. Pomimo chęci pojednania się, musiałem mu z przed oczu ustąpić, powiedziawszy Rejentowi, że na folwarku każę zrobić miejsce dla Porucznika i pamiętać będę o wszystkich jego wygodach.

Wędrvchowski dosłyszał com szeptał, i zawołał głośno:

— Nie chcę! nie chcę! Nie potrzebuję twojéj łaski ani gościnności tam, gdzie moje własne dziedzictwo. Rozprawimy się jeszcze i o moje krzywdę, i o krzywdę familii, i.... —

Rejent go hamował:

— Ale dość już, Poruczniku, miałeś satysfakcii; dajże pokój: potrzeba się pojednać.

— Niech go tam djabli wezmą, razem z pojednaniem — zawołał Wędrychowski. — Opatrzcie mnie jakkolwiek; dojadę do miasteczka. —

I widząc krew płynącą, chwytał się za głowę, mrucząc: — Nieszczęście, kalectwo! męki! amputacija! Ach! żebym był przynajmniéj miał satysfakciję jemu się podobnie przysłużyć! —

— Jeśli krew mego synowca może mu uczynić satysfakciję — rzekł mój stryj, który piérwszy dostrzegł mojéj rany — mogę Panu oznajmić, że i on jest ranny. —

Porucznik spójrzał szybko na mnie, naprzód na piersi, potém na ręce, nareście po nogach.

— Dałbym rękę — zakrzyczał zajadły — żebyś stracił choć nogę! —

Zimno mi się zrobiło, słysząc z jaką to mówił złością. Rozstaliśmy się, nie podawszy rąk sobie, nieprzyjaciółmi bardziéj jeszcze niż przed pojedynkiem. Moję nogę opatrzono natychmiast, ale rana była tak nic nie znacząca, żem mógł natychmiast wyjechać. Stryj pocałował mnie w głowę.

— Zuch jesteś! — rzekł. — Nie spodziewałem się po tobie, żebyś był taki tęgi; ale poczciwa krew nigdy nie kłamie! — Stary zaciera! ręce z radości.

— A ten twój Porucznik — dodał — to taki całą gębą chłystek! Gdyby też być mężczyzną i nie umieć się znaleśdź uczciwie po odebranym strzale! No, żeby to tak lewa ręka, nie prawa, na sucho-by mu nie uszło! A teraz ruszajmy do Antosi; bo jestem pewny, że jéj już serduszko powiedziało o wszystkiém, i musi być o ciebie djable

niespokojna. —

Nie chcę wam opisywać jakem zajechał, jak mnie witano, jak poczciwy stryj, w opowiadaniu o pojedynku, umiał wystawić moję odwagę w należytém świetle, a postępowanie Wędrychowskiego, co pistolet trzymając na gardle nowożeńca, dopominał się ustępstwa folwarku, wyszydził; jak Antosia zaprzysięgła mi, że będzie szanować nawet rojenia mojéj zazdrości i nie da do niéj najmniejszych powodów — jak — jak! — O! wiele rzeczy jeszcze opisywać nie będę, bo-bym nie prędko skończył; wiele rzeczy, począwszy od wesela, co się odbyło w następną niedzielę, aż do.... —

— Czego — myślicie? — hę? jak wam się zdaje? —

— Aż do — zgadnijcie, proszę. —

— Aż do — niestety! muszę wam dopowiedzieć aż do rozwodu z Antosią, która poszła za — za Wędrychowskiego. —

Tegoście się nigdy nie spodziewali, i jam się nie spodziewał, całując ją w czoło piérwszy raz po ślubie, i obejmując ją w pół zarumienioną, drżącą, czując pod dłonią jak jéj serce biło! Myślałem, że serce kobiéty jednemu tylko bije i na wieki; ale takich poczciwych staroświeckich serc nie wiele: reszta byleby bić, byleby mieć życie, byleby kochać; kochają, kto z brzegu. Właśnie dla Antosi z brzegu był Wędrychowski, i nikt nie winien że go pokochała!! Wszakże miłość podobną jest do szczęścia — owszem, jest samém szczęściem? — jak utrzymują młodzi myśliciele. Im więc jest większą, tém nagléj może się odmienić.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autorów: [Placyd Jankowski](#), [Józef Ignacy Kraszewski](#).*

VII.

Rozstaliśmy się z moją żoną najgrzeczniéj, najspokojniéj, *do zbudowania*, jakby powiedziała znajoma wam z *Karoliny* nieoszacowana Szambelanowa. Od piérwszéj prośby o rozwod, aż do jego ukończenia, byłem tak wesół, tak uprzejmy dla Antosi, tak przewidujący i niezmordowany na jéj usługi, że niech mi tylko przebaczy Niebo tę obłudę, ale wypielęgnowałem mojemu następcy przynajmniéj sto i dwa niepodobieństwa, iżby się mógł wydać doskonałym *drugim* mężem. Za nadejściem zezwolenia na rozwod, złożyłem papier do rąk Antosi, przy perorze tak wymównéj, że pozazdrościł-by mi jéj nawet organista rozwożący opłatki. Życzyłem jéj szczęścia, losu, błogosławieństw i spełnienia zamiarów w Wędrychowskim, i doskonałego zapomnienia o piérwszym mężu, jak o starym niepomyślnym roku; prosiłem o zachowanie wszystkiego, co mogła mieć ode mnie, i o udarowanie mię tylko swoją sylwetką; w końcu mówiłem, ile pamiętam, następnie:

— Oddalam się na sieroctwo całego życia: bo gdym nie zdołał być szczęśliwym z tobą, któréj dobroć tylko i najmilsze serca przymioty pamiętać będę, nie znajdzie nigdy do mnie przystępu myśl również niepodobna, abym mógł przynieść szczęście komukolwiek, jak też abym mógł spodziewać się go od kogokolwiek. A teraz żegnam cię, Pani! —

Ten ostatni wyraz, choć mu chciałem nadać najobojętniejsze znaczenie, rozczulił przecięż do łez Antosię.

— Adamie! — zawołała ściskając moje ręce — zapomnijmy o wszystkiém! Dobry Adamie! — powtórzyła, nie mogąc mówić za płaczem.

Zdumiony taką przemową i pełen bojaźni, aby zmienna chorągiewka kobiécego serca nagle i niespodzianie nie powinęła się do zgody, milczałem tak, żem nie śmiał odetchnąć.

— Nie odmów mojéj prośbie ostatniéj! — mówiła po chwili Antosia.

Na słowo *ostatniéj* słodko odetchnąłem.

— Gdy zwyczaj nie dozwala, abyś mógł znajdować się przy moim ślubie, daj mi słowo, że wkrótce nas odwiedzisz, i że z serca przebaczysz wszystko Porucznikowi! —

— Najchętniéj! — odpowiedziałem, nie mogąc wstrzymać się od lekkiego uśmiechu, żem słyszał podobną prośbę i widział zapłakane oczy.

— Jaki-ż to kraj, i czas jaki! — myśliłem w duchu. — Miała-ż co podobnego historija od początku świata? W ciekawéj epoce żyjemy! Szkoda tylko, że to mnie się dostało być bohatérem tego *mirabile dictu!*

I z tą uczoną myślą, któréj spokojności świadkiem łacina, ucałowałem rękę ex-mojéj Antosi, przyjąłem jéj płaczliwe pożegnanie bez łez, jak ten kamień, co go autor Dziadów skazuje do piekła, i na tym-że samym gniadym wierzchowcu, który tyle razy niosł mię tu za czasów i marzeń szczęśliwszych, odjechałem do Tolina.

Uważcie jak to musiało być niedawno od ery ślubu!

— Kochany mój koniu! — rzekłem wsiadając i zlekka bijąc go po szyi — jeszcze chwilka, i skończymy kampaniją; a odtąd będę cię karmił pozłacanym owsem! —

Szlachetny rumak zrozumiał mię doskonale, i jak strzała mignął z dziedzińca. Lecz dostawszy się w czyste pole, gdym go ani naglił do pośpiechu, ani wyzywał do dalszéj rozmowy, zrobił on, jak znamienity historyczny koń Sieniawskiego:

Myślóm *Pana* się stosował,
Z zwieszoną głową zwolna postępował.

W rzeczy saméj, obu nam nie było pilno. Kochany mój stryj od roku przeniósł się z Tolina na wieki; i od zgonu stryja nie byłem ani razu w tém mojém miejscu rodzinném. Majątkiem rządził ekonom, który ani się spodziewał, abym mógł tak znienacka zjechać do Tolina, na stałe mieszkanie. Wszyscy domowi byli w polu koło roboty; pokoje stryjowskie zastałem zamknięte; chuśtający się na bramie dziedzincowéj mali synkowie pana ekonoma, na mój widok uderzyli na trwogę, i pobiegli do oficyny do matki; słowem, nie było nikogo, coby nawet przyjął ode mnie konia. Puściłem go swobodnie i wszedłem do ogrodu. Na szczęście zastałem tu otwartą domową kaplicę, w któréj były nasze familijne groby. Wszedłem do środka, upadłem na kolana, i o jak-że było mi ciężko przed BOGIEM, jaki mię wstyd tłoczył na widok tych świętych marmurów, leżących obok siebie *parami!* Świat mię już nie nęcił: myśl o śmierci tak mi była naturalną, tak zdawała się blizką! Lecz i jam miał żonę — i czułem, żem dotąd kochał ją, niestety! Cisza świątyni przejmowała mię dreszczem; parzyste groby przodków

spotykały mię groźnym zarzutem; zdało się, że nakazywały mi, abym stąd wyszedł co prędzéj, i ostatni, odrodny potomek, zamknął natychmiast to ich grobowe nierozdzielne schronienie!

Modlitwa, któréj święta władza dawno mi już była nieznaną, pokrzepiła mię nieco. Wyszedłem z kaplicy, cokolwiek w duszy spokojniejszy, z jakiémś wszakże uroczystém, upokarzającém uczuciem mojéj niegodności, i z mocném postanowieniem, że będę pogrzebionym za obrębem téj świątyni. — Żadna myśl lepsza, żaden trwalszy zamiar na przyszłość, nie znalazły do mnie przystępu, ani dnia tego, ani długo jeszcze potém. Jak tułające się po chmurach dusze Ossijanowskich rycerzy, takem ja po całych dniach błąkał się bez celu, w moim Tolinie. To żal, to miłość, to duma, to zazdrość, to rospacz, to chęć ulżenia sobie jakim-bądź kolwiek rodzajem zemsty, miotały mną naprzemiany.

Aż też we cztéry miesiące, po powtórnym ślubie Antosi (bo wolałem raczéj okazać się hojniejszym, niż niedoliczyć w rachubie miodowych miesięcy, i właśnie teraz dopiéro, doszedł mię nowy kocz warszawski, ze świetnym zaprzęgiem) pojechałem w przyrzeczone do Państwa Młodych odwiedziny.

Było to latem, ku wieczorowi. Zastałem ich na balkonie, przy herbacie, i dostrzegłem z niemałą moją radością, że nie zostałem odrazu poznany. Wzięto mię za kogoś zupełnie obcego. Nieznajomy piękny pojazd i barwa moich ludzi wznieciły oczywistą wrzawę. Usługujący do herbaty kozaczkowie Wędrychowskiego, rzucili się, jak piłki, po ubior dla pana; Antosia znikła z wystawy, też zapewne dla

przebrania się: bo z powodu upału, herbatujący małżonkowie wyglądali, jak goście Piasta, w śnieżnéj bieli; a tymczasem psy różnego kalibru zewsząd opadły mię wysiadającego, i podług słów Bajrona: *powitały wściekłą paszczęką swego dawnego pana.*

Przepraszam za te częste wstawki poetyczne; ale bo też mam i gotowe usprawiedliwienie: komu już i czytać poezije, komu pojmować Bajrona, jeśli nie mnie, co mam tyle wolnego czasu, i jestem sobie teraz, nawet poniekąd w położeniu Bajrona!

— Cicho, Szumlasku! Gzmilasie! Cicho, Ścigaju! Pijawko! Strzałko! Cicho! cicho! To ja, nasz znajomy! Jak się macie? dobre pieski! Schudłyście, schudły biedne! —

Na ten głos, przypominający im zapewne lepsze czasy i lepszą kuchnią, psy podjęły taki hałas, nastąpiło takie radośne skomlenie, wycie, szczekanie, skowytanie, zaczęły się takie susy i pląsy koło mnie, dokoła pojazdu i po całym dziedzińcu, że ubierające się Państwo nie mogło przenieść na sobie, by nie podbiedz do okien. I dostrzegłem po jednéj stronie domu Wędrychowskiego we fraku zwieszonym z ręki, na wzór kurtki huzarskiéj, a w jedném z okien pokojów Antosi, ją samę wyglądającą jak Psyche, ciekawie, pilnie, w całém popiersiu. Poznała mię ona; usłyszałem nawet jéj krzyk radości, przestrachu czy zdumienia — tego już nie wiém — gdyż biust zniknął wnet z okna.

Natomiast po schodach zbiegł do mnie kozaczek z prośbą: abym raczył wejść do bawialnych pokojów, a Państwo zaraz nadejdą. Ledwie żem potrzebował tego wezwania. Pod wpływem tylu wrażeń, tak niedawnych, tylu przypomnień po

większéj części miłych, wszedłem i zacząłem się przechadzać po tych znajomych mi pokojach, wprawdzie nie z takiém pilném zajęciem i nie z tą baczną na wszystko, historyczną, porównynającą na każdym kroku *dzisiaj* i *wczoraj* uwagą, z jaką-by na mojém miejscu przeszła tu rzecz każdą kobiéta; zawsze jednak nie mogłem nie dostrzedz, że odmieniło się tu bardzo mało, a i to nie ku lepszemu, za nowego panowania. Nie widziałem tylko nikogo z dawnych sług moich: nowy właściciel odmienił ich jak dawne herby; lecz nie stało go widać na przeinaczenie z gruntu dawnego porządku rzeczy. Patrząc więc na tych drobniutkich ruchawych kozaczków, którzy jedyni byli zapewne do bieganiny i stukania drzwiami, ale nie obiecywali dobréj i spokojnéj posługi, nie mogłem sobie odmówić téj małéj pociechy dumy, skądinąd dostępnéj nawet prawdziwym ex-panującym: że nowy dwór ma minę bardzo biedną, karłowatą, orleańską.

Mogłem oddawać się tym uwagom do woli. Nie śpieszono z zapowiedzianém *zaraz*; i łatwo mi było zgadnąć, że przyczyną opóźnienia była gotowalnia Antosi.

— Cóż to! knuje się tedy spisek na piérwszego męża! A to wybornie! — pomyśliłem serdecznie ucieszony, i pomimo doskonałéj znajomości niebezpieczeństwa, mając je zawsze nie do pogardzenia, postanowiłem wziąć się ze swojéj strony na stosowne sposoby: okazać się zupełnie swobodnym, wesołym, słowem, niedostępnym broni, którą mię donękać chciano. — Była-by to już ostatnia niełaska, niesprawiedliwość, ostatnie okrucieństwo losu — mówiłem do siebie — jeślibym miał stąd odjechać, nie tylko że

niepomszczony, ale nawet z sercem nanowo rozbolałém! —

Nakoniec zjawiła się ona, trzymając się za lewą rękę Porucznika, (bo prawa, jak wiécie, w przeszłym rozdziale została przestrzeloną), strojnie, z uśmiechem, który miał w sobie jakieś tęczowe barwy uśmiechu przyjaciółki, siostry, kochanki, ex-żony.

Bojowa moja pozycija, jak możecie miarkować, była daleko korzystniejszą. Przeciw *zbiorowemu* uśmiechowi należało mi mieć tylko jeden rodzaj obojętnego uśmiechu, i pod jego zasłoną trzymać się odpornie, a byłbym poraził łatwo i na wszystkich punktach to wojsko ladajako sprzymierzone; ale pełen zemsty, odwagi, i piérwszy raz rozwiedziony, cóż dziwnego, że zanadto zaufałem swojemu męstwu i dałem się wywieść w pole?

Przywitaliśmy się z sobą uprzejmie. Antosia uścisnęła zlekka mą rękę, jam na odwet uścisnął potężnie rękę Wędrychowskiego, wprost dla przekonania się, czy go jeszcze boli? Waleczny Porucznik przygryzł sobie wąsy, nie okazał jednak innego znaku boleści. Zatém wszyscy troje na wyścigi zapytywaliśmy siebie o zdrowie, cieszyliśmy się bardzo, że się widzimy w pożądaném, winszowaliśmy sobie nawzajem wybornéj cery, pięknego lata, ładnego wieczoru — słowem, szło nam z początku jak z płatka. Ztémwszystkiém te pospolite bieguny codziennéj rozmowy, jakkolwiek są podatne i wybornie się obracają, mają tę nieuniknioną niedogodność, że opisują koło zbyt małe i rychło się zatrzymują. Nierównie rostropniéj czynią w podobnych razach Turcy, zapytując siebie nawzajem nie tylko o stan zdrowia dzisiejszy, ale i o wczorajszy i zawczorajszy i

przeszło-tygodniowy i przeszłomiesięczny — a nawet, gdy rozmowa zaczyna się urywać, a zatém widoczna jeszcze pozostaje wątpliwość względem zdrowia, nie wahają się postępować w *pytaniach* aż do ostatniego Bajramu. Jest to, powtarzam, bardzo i bardzo rozsądnie ze strony tych Mahometanów: bo z dnia jednego zapewne nie można jeszcze wyrokować o należytym stanie zdrowia, a przytém unika się niemałego w wielu razach niebezpieczeństwa ustania rozmowy. Właśnie po piérwszych pomyślnych pytaniach i odpowiedziach *sztyl*[1] tego rodzaju zdarzył się z nami.

Wiadomo zaś, że na przypadek sztylu na morzu, niéma innego sposobu dla żeglarzy, tylko cierpliwie czekać i wyglądać powiewu wiatru, choć on najczęściéj przybywa w postaci *Szkwału*[2], a na stałym lądzie, zwłaszcza w naszym kraju śródziemnym, na przypadek téj niebezpiecznéj ciszy, idzie się do okna i wygląda się z utęsknieniem jakiegokolwiek przedmiotu czy konceptu do podsycenia rozmowy; chociaż i to upatrywanie miewa czasem następstwa niebezpieczne.

Tak się stało i w tym razie. Porucznik powstał, zbliżył się do okna, okrzyknął piękność mojego pojazdu i zaprzęgu, zaklął się honorem, że oddawna nic podobnego nie widział, prosił, abym mu pozwolił obejrzeć zblizka ten cudowny ekwipaż, usadowił mię gwałtem, gdym zabierał się mu towarzyszyć, i zostawił nas z Antosią w dość niebezpieczném, bo piérwszém jeszcze od czasu naszego rozwodu *sam na sam*.

— Porucznik nie odmienił się ani na jotę — przemówiła

po wyjściu jego Antosia — zawsze wesół i zapalony miłośnik koni i pojazdów. Ale-ś ty, Adamie, (daruj téj dawnéj poufałości!) widocznie pochudł i zesmutniał. Jeśli-bym i to jeszcze miała sobie do wyrzucenia, byłabym bardzo nieszczęśliwą! —

Słowa te powiedziane były takim czułym głosem i przy spójrzeniu olśnioném taką wymówną łezką, żem się posłonił w sercu i zadrżał mimowolnie.

Zdradziecka Pani Wędrychowska dostrzegła swojego tryumfu, lecz wolała dać pozor, jakoby nie zrobiła żadnego, i że z rospaczą musi dać za wygraną.

Może nie pięćdziesiąt razy w życiu poszedłem na te sidła, ani domyślając się ich nawet. Poszedłem na nie i teraz, jak biedny zajączek do owsa.

— Nie drżyj tak widocznie z nienawiści, Adamie! — rzekła mi po chwili. Dość dla mnie okropniejszéj nad wszystko nienawiści własnéj! —

I tu zachwiał się głos jéj, ten sam głos, który mną powodował wszechwładnie i podczas choroby, i za dni szczęśliwszych, który mi brzmiał w uszach niepozbyty, jak muzyka po balu — ten sam, co wolą czy poniewoli, ale słodko i jak najgrzeczniéj doprowadził mię aż do rozwodu.

— Była-ż byś nieszczęśliwą? — spytałem czuléj i głośniéj, niż zdołałem się umiarkować.

— O mój Adamie! masz-że ty BOGA, masz-że choć trochę litości w sercu, tak mnie zapytując? — odpowiedziała ona prędko, zakrywając twarz rękoma.

— Czego-ż ci braknie? — zawołałem. — Masz wszystko, tak jakem ja wszystko utracił! —

— Tak jest, mam wszystko, na com zasłużyła, kiedy mam nawet twoje szyderstwo i pogardę! —

I nastroiła minkę pół-srogą, pół-nieszczęśliwą, pół-zalotną, ale w ogóle tak czarującą, że nie przypominając sobie po niéj nic podobnego, i ani się domyślając, że to jest nowy wynalazek, ale już należycie doświadczony i sprawdzony na Poruczniku, zapomniałem się do tego stopnia, żem ukląkł przed nią, zaczął całować jéj ręce i upewniać: że chociaż nas los rozłączył, roztrącił od siebie, rozdzielił przepaścią, nigdy przecięż nie będę dotyla niesprawiedliwym, abym ją obwiniał o przeszłość; pozostaje mi płakać na siebie, żem nie umiał i nie zdołał umilić jéj życia; ale dla téj, która mi tak szlachetnie i otwarcie wyznała, że nie możemy być szczęśliwymi, że ciężymy sobie, będę miał zawsze tylko szacunek, przyjaźń, najtkliwsze uczucie brata, najczulsze przywiązanie dawnego Adama... —

I nie wiém już, czegom nie naprawił, i czegobym nie naprawił daléj, w téj postawie klęczącéj, zachwycony jéj wzrokiem omdlałym, cierpiącym, topniejąc z roskoszy, żem czuł jéj rękę, którą mi rozgarniała włosy, jakby chciała ostudzić ogień mojego czoła i rozegrzać troski mojego wdowiego stanu — gdy wtém drzwi się otworzyły, i wpadł Wędrychowski.

— Jeszcze więc jeden pojedynek! — pomyśliłem, nie śpiesząc się już ze wstaniem.

Ale Porucznik, cudo dobroci, roztargnienia, czy krótkiego wzroku —

— Wiész co? Panie Adamie! — zawołał — stało się! choćbym miał narazić się na śmiechy całego Dubna! No!

zgadnij, na com się zdecydował? —

— Znajdziesz mię Pan na wszystko gotowym! — odpowiedziałem zimno i stanowczo, chociaż mi krew ze wszystkich stron biła do głowy.

— A więc chwytam cię za słowo! Głowa na głowę — mój kocz wiedeński i czwórka siwych! —

— Zgoda! jak najchętniéj! — odpowiedziałem, i zadziwiony i ucieszony i niezupełnie rad z tego nagłego dobicia targu.

Bo ileż to uczuć nieraz umié natrzeć razem na biednego człowieka!

— *Merci!* Więc kiedyś tak dobry, i w takim dziś słodkim, różowym humorze — przydał z małym przyciskiem — to daj-że się jeszcze prosić o jedno, w imieniu Antosi. Uwolń nam ze swojéj nowéj siwéj czwórki ulubionego wierzchowca Antosi. Przywykła już ona tak do niego, że nie zaaprobowałaby inaczéj naszéj facijendy. Skądinąd dla ciebie będzie to wszystko jedno: bo mam w mojéj stadninie już dorastającego szpaka, dziwnie pięknego składu, i szyi istnie łabędziéj. Na przyszłą wiosnę odeszlę ci go już najeżdżonym!

— Najchętniéj! najchętniéj! — rzekłem, i tą razą już najszczerzéj: bo rad byłem zrobię przysługę Antosi, i wiedziałem, że siwy wierzchowiec, o którym mowa, był jedynym koniem z całéj czwórki, co wart był przecie tego imienia. Trzy inne, wszystkie mniéj więcéj były ślepe, i odpowiadały najzupełniéj temu światło-cielistemu koczowi, który jeśli to prawda, jakoby wyjechał z Wiednia, to zapewne jeszcze za czasów Marii Teressy. Młody szpak, o którym

mówił Wędrychowski, *rzadkiego składu* i *szyi istnie łabędziéj*, nic pewniejszego, że nie w stadninie, ale bujał gdzieś jeszcze *in spatiis imaginariis*.

Jest zaś, proszę cię, kochany Czytelniku, cóś miłego widzieć się doskonale, i co się nazywa, w *puch* oszukanym od kochanego przyjaciela, gdy możemy powiedzieć do siebie, z małą odmiana, po Hamletowsku: *jeśli już być to być!* W podobnych razach, znika wszelkie podejrzenie o frycostwo, i rzecz niezmiernie ważna, nie śmieją się nawet szubrawcy! — Ale nie pojmiecie, jako żywo, tego rodzaju przyjemności, jeśliście go na sobie nie doznali. Wracam więc do opowiadania.

Jako trzeci warunek przyjacielskiéj facijendy, założył mi Wędrychowski, abym został na wieczerzy i nocował; a nazajutrz zamienny mój kocz pójdzie naprzód, a ja zostanę od ich obojga odwiezionym w szarabance do połowy drogi aż do ... *inicz*, i na tém samém miejscu, gdzieśmy przed kilką laty śmiertelnie się strzelali, rozpowiémy Antosi o wszystkich szczegółach naszego pojedynku, i założymy podróżne śniadanie. Tym sposobem wojowniczy *Thiers* sprawdzał zwycięstwa Napoleona.

Łatwo przystałem i na ten układ; podobała się mi nawet ta myśl rycerska. Bo i dla czegoż zresztą się taić? Komuż nie miło oglądać pole, na którém zostało się zwycięzcą, zwłaszcza gdy i nieprzyjaciel żyw, dzięki Bogu, i nie myśli nam bynajmniéj zaprzeczać tryumfu.

Podobnież tłómaczyłem sobie i powolność Antosi, z jaką dała się nakłonić do tego zamiaru. Było to zapewne z jéj strony trochę niesentymentalnie. Ale któraż ładna kobiéta —

myśliłem sobie — śród łez nawet, nie spójrzała-by z wewnętrznym uśmiechem na to *Molochowe* pole, gdzie ku jéj czci krew przelano? —

Tymczasem rozmawialiśmy wesoło, chodziliśmy po pokojach dolnego i piérwszego piętra, po ogrodzie, po okolicznych dróżynach i ścieżkach, któreśmy nieraz deptali z Antosia. Uprzejmy Porucznik, przewidując, żeśmy mieli na każdym kroku tyle rzeczy do przypomnienia, przyzostawał od nas często pod różnémi pozorami: chodziliśmy więc ręka w rękę z Antosią, śmiejąc się, żartując, pustując — żartując nawet z Porucznika, który o kilka kroków za nami, miał nieszczęśliwą minę znudzonego guwernera.

Nadewszystko gabinecik Antosi i przegląd potajemników jéj biórka i toalety mile nas zajęły. Czuła i dowcipna Pani Wędrychowska umiała nadać taki powab tajemnicy rozmaitym pamiąteczkóm: różno-kolorowym bilecikóm, różno-kształtnym cackóm, puszeczkóm i pudełeczkóm, tak zręcznie jątrzyła ciekawość obu mężów, i po wielu drożeniach się, zaspakajała ją w sposób tak niedostateczny i pociągający do dalszych poszukiwań, że ani przyszło nam nawet na myśl, ile to wszystko było podobném naprzykład do sztuczek prestigiatora *Bosko:* choć proces obu tych manipulacii nie różnił się ani na jotę, i jak tam tak i tu, dobroduszni widzowie byli przedmiotem zasłużonego uśmiechu.

— Zgadnijcie od kogo mam ten krzyżyk? Czyja-to sylwetka za tą czarną gazą? Czyj splot tych włosów? Ale nie pokażę wam zblizka. Muszą mi one być bardzo i bardzo miłe, kiedy widzicie, że je całuję! — Tylko-ż nie marszczcie

się tak pociesznie! Ot ucałujcie raczéj oba tę drogą dla mnie pamiątkę! To sylwetka papy! włosy mamy! a krzyżyk mam od brata! —

Całowaliśmy więc, przez gazę, ze ślepą masońską wiarą, podawane nam pamiątki; choć bardzo być może, że nie były to włosy mamy — ani sylwetka drogiego papy! — Ale niewinne złudzenie zajmowało tak słodko i roskosznie, że anim się postrzegł, gdy czas przeleciał i oznajmiono wieczerzę.

Sypialny pokój dano mi ościenny od gabineciku Antosi.

Długo nie mogąc zasnąć, śród walki wspomnień (bo szczęściem mam mocną pamięć *lokalną*) dosłyszałem jedną razą cichéj, ale częstym tłumionym śmiechem przerywanéj rozmowy w gabineciku. Poznałem wkrótce głosy Wędrychowskich; i któż-by nie przebaczył człowiekowi niewinnéj rozrywki słuchania, gdy go sen nie bierze? — zacząłem podsłuchiwać.

— Ale to już będzie zanadto! i może nie skrupulatnie! On taki nieoszacowany! zwłaszcza po tym dzisiejszym koczu! — szeptała śmiejąc się Antosia.

— Kiedy ci mówię, że to nasza własność, prawdziwa ojczyzna, krwawy dorobek Wędrychowskich! co się nazywa krwawy! bo jeśli pozwolisz sobie przypomnieć, to i mojéj krwi trochę tam się rozlało! —

— To już ci się i wróciło z lichwą, tłuściochu! Jak cię kocham, wyglądasz teraz, jak nigdy! A on taki blady, sentymentalny, że aż mi go żal doprawdy! —

— Wiém, wiém o tym żalu! Widziałem, jakeście się tam czule żałowali! jak po macierzyńsku cacałaś go po twarzy!

—

— Toś ty widział to wszystko? ty, ty, obłudniku! I zamiast na pojedynek, wyzwałeś go na facijendę! Otoż-to jak on mnie kocha! —

— Ale-bo, widzisz, moje serce, nie zdaje mi się, aby należało rozciągać zazdrość aż do piérwszego męża! Już-cić należy cóś darować przeszłości i nawyknieniu. Ja sam, na jego miejscu, nie ręczę, czylibym się nie zapomniał, i nie rozkochał się powtórnie, jak najśmiertelniéj — jeślibym miał taką ładną żonę, taką koteczkę, filutkę — i stracił ją przez głupstwo! —

Tu dały się słyszeć niehamowane już śmiechy i całowania.

O jakbym chciał być w téj chwili Samsonem! obaliłbym ten dom niegodziwy, i wraz z tą parą Filistynów zagrzebałbym się w jego gruzach!

Ale jaka-ż to siła i jakie gniewy tegowiecznych ludzi!

Porwałem się, i w niedołężnéj zemście uderzyłem tylko nogą o ziemię.

W oka mgnieniu wszystko ucichło.

Chciałem zawołać moich ludzi i wyjechać natychmiast. Gdy jednak na kilkakrotne dzwonienie nikt nie nadszedł, uspokoiłem się nieco i pomyśliłem sobie, że najlepiéj uczynię, gdy udam, iż nie wiém o niczém, dozwolę im dojść do końca w swéj roli i dopiéro przy rozstaniu okryję ich zasłużoną hańbą i pogardą.

Oburzenie i odmiana planów do jak najświetniejszéj zemsty, długo mi nie dozwoliły zasnąć; nad rankiem zasnąłem przecięż, i obudziłem się już około dziewiątéj.

Mój służący oznajmił mi, że Państwo Wędrychowscy

oddawna już czekają na mnie z herbatą, że kuchnia i nowo nabyty przeze mnie kocz wiedeński (poczciwy Józef kiwał głową mówiąc o tym koczu) przed świtem jeszcze wyruszyły do ....inicz, i że zaprzężona naszemi.... to jest podobno już nie naszemi końmi szarabanka od godziny czeka przed gankiem.

Pośpiech ten wyprawienia gościa z domu wydał mi się tak pociesznym, tak odpowiednym nowéj kabale, jaką mi gotowano, że wyobrażając sobie wstyd i upokorzenie, któremi ich miałem nabawić, rozpogodziłem się zupełnie i z najweselszą twarzą wszedłem do salonu.

Antosia okrzyknęła mię najspokojniejszym, najszczęśliwszym z ludzi, że mogę spać tak długo. Wędrychowski winszował mi szczerego skarbu a nie takich zawziętych służących, którzy, jakoby w skutek mojego rozkazu, wyprowadzili mój pojazd jeszcze przed świtem, tak, że nawet uprzedzili kuchnią i t. d. Nastąpiły potém nieuchronne pytania, co wolę i rozkażę: czy kawę, czy herbatę? ze śmietanką, czy bez śmietanki? — lub może po angielsku z żółtkami? albo może kawę z herbatą po połowie? albo też może czekoladę? to chociaż.... ale zaraz... —

Chcąc pośpieszyć wyjazd, oświadczyłem, żem odmienił tryb życia, że piję tylko czystą herbatę, i po myśliwsku miewam teraz zwykle ranne śniadanie.

— A więc — rzekła śmiejąc się Antosia — po wyprawieniu kuchni do ....inicz, nie pozostaje teraz uprzejmym gospodarzóm innego sposobu, tylko co najprędzéj wywieśdź kochanego gościa z domu. — Służę ci, Adamie! — przydała, podając mi rękę.

Dzień był prześliczny. W szarabance usiadłem obok Antosi; Wędrychowski *solo* na przeciwległéj ławeczce. Litowaliśmy się więc nad nim, że nie ma pary, śmieliśmy się z przesądów, żartowaliśmy z rozwodów, mówiliśmy o przyjaźni, dobieraliśmy wyrazu na oznaczenie przywiązania, jakie na złość całemu światu i Porucznikowi zawsze mieć będziemy ku sobie. —

— O, tak! tak! — mówiła Antosia, ściskając mą rękę i całując mię w czoło.

Wędrychowski udawał zrospaczoncgo, zakrywał rękami oczy, groził Antosi nowym rozwodem, przytaczał na poparcie swéj groźby przykłady, nierzadkie, niestety! w naszym rozumnym kraju, radził nam wreście mieć przynajmniéj wzgląd na uroczyste miejsce, do któregośmy się zbliżali; a gdy na wyścigi z Antosią ciągleśmy się znęcali nad jego niby zazdrością, oświadczył, śmiejąc się: że już też nie zniesie tego dłużéj, rozkazał stanąć woźnicy i przed samemi ....iniczami wyskoczył z pojazdu.

— Adieu! kochany Poruczniku! żegnamy! — zawołała z uśmiechem Antosia.

— Teraz będziemy mogli podrażnić się z nim do woli. Bo wszak-że wiész o jego osobliwéj przysiędze? — rzekła mi po chwili.

Odpowiedziałem, że nie wiém o żadnéj.

— To musiałeś chyba zapomnieć? — Mówi on, że zaraz po waszym pojedynku w ....iniczach, przysiągł na placu, że nie stąpi odtąd krokiem na tę ziemię, jak on powiada, będącą niegdyś własnością Wędrychowskich, dopóki jéj nie odzyska. Śmieszne z tego powodu bywają nieraz zdarzenia.

Przez ....inicze, jak wiesz, jedzie się do naszego kościoła, i Porucznik, każdą razą objeżdżając te pola, nakłada sobie z parę mil drogi, tak, że zwykle przybywa już po nabożeństwie — tylko na śniadanie do proboszcza. Jeśli kiedy, to dziś możemy go za to nadręczyć. W jego oczach każemy podawać sobie śniadanie, i nie zaprosimy go, dopóki ci się nie spodoba, mój szlachetny Adamie! — przydała, ściskając mą rękę i czule ze łzami poglądając mi w oczy.

— Wybornie! wybornie! z całego serca! — rzekłem uradowany z myśli, która odmieniła nagle wszystkie plany méj zemsty, i udając, że najdoskonaléj rozumiém i wykonam mą rolę.

Pojazd zatrzymał się, jak było ułożono, na placu naszego niegdyś pojedynku. Śniadanie już było gotowe. Zasiedliśmy więc do stołu. Antosia posyłała różne to figlarne, to dobréj otuchy, znaki Porucznikowi, który o parę-set kroków od nas, związany przysięgą, stał z założonemi rękami, nieruchomy, jak ułan na wedecie.

— Podrażń się-bo z nim trochę, Adamie! — mówiła Antosia. — Pokaż mu naprzykład tę tak dla niego ponętną butelkę Szampana! —

Powodowałem się chętnie. Zajadałem smaczno, piłem zdrowie Antosi, zdrowie Porucznika, salutowałem go naprzemian to kieliszkiem, to butelką.

Antosia wściąż mię zachęcała: — Jeszcze, jeszcze trochę, kochany Adamie! —

— Wreście ulituj się już nad nim biednym! — przydała, wznosząc na mnie błagające spójrzenie.

— Nigdy w niczém nie mógł-bym ci odmówić, nie

dopiéroż takiéj bagateli! — odpowiedziałem poważnie. — Ale jest to rzecz, któréj podług przepisów prawa natychmiast zrobić nie można. Muszę jeszcze porozumieć się w téj mierze z kilką osobami. Daję ci jednak słowo honoru, że najdaléj w przeciągu tygodnia, przyszlę wam papier należycie uprawniony, i będziecie mogli założyć tu drugie śniadanie, chociaż, niestety! już beze mnie: bo w przyszłą niedzielę wyjeżdżam za granicę. Widok tych miejsc a nawet i ludzi jest mi do niezniesienia. Bądź zdrową i szczęśliwą! Oby dał Bóg, abym mógł o tobie zapomnieć! Przeproś i pożegnaj ode mnie Porucznika. I nie miejcie mi za złe, że już się z wami nie zobaczę. Ta przymuszona wesołość ciężką mi jest niewymownie! —

Przy tych słowach, ucałowałem jéj ręce, pożegnałem Porucznika kilką kapeluszowemi ukłonami, i, jakby broniąc się od łez, dzięków i omdlewań Antosi, skoczyłem do pojazdu i odjechałem.

Cała ta ostatnia scena, pełna wzorowéj prawdy i dobréj wiary (jak zaraz zobaczycie) musiała być niezmiernie zagmatwaną dla Porucznika. Nie ręczę nawet, czy nie obwiniał on Antosi o zdradę lub nieumiejętne poprowadzenie tak wybornie obmyślanego planu, i czyli jéj nie powiedział z góry czego niemiłego, nim mu porządnie mogła przełożyć rzecz całą. Wszystko to jest mi już niewiadomo: bo jakem oświadczył Antosi, tak też w rzeczy saméj, w tydzień po tém pamiętném śniadaniu wyjechałem za granicę.

— A słowo honoru względem ....inicz? — spytacie.

Dopełniłem go w całéj rozciągłości, podług przyjętego zobowiązania się, brzmienia i *tenoru*.

Natychmiast podałem prośbę, w imieniu Wędrychowskiego, do miejscowéj władzy Dyecezalnéj, i miałem przyjemność przesłać Porucznikowi, akuratnie w tydzień od dnia mojego przyrzeczenia, *dyspensę* uwalniającą go od uczynionéj przysięgi, *z uwagi:* że przysięga ta była uczynioną nierozmyślnie, i była mu nadto przeszkodą w uczęszczaniu do parafijalnego kościoła. Za jedyny warunek przy udzieleniu niniejszéj dyspensy, naznaczoną była urodzonemu Porucznikowi Wędrychowskiemu niewielka jałmużna na rzecz miejscowego szpitalu. Przytém zalecano mu odbydź spowiedź: „*ut indulgentia impertiatur in statu gratiae.*”.

Co się tycze Antosi.... tak jest... co do Antosi, to doprawdy warto szczególnego zastanowienia! Co to jest, powiedzcie mi, proszę, że nieraz, ani się postrzegę, jak mi staje w oczach jéj obraz, i jak zacznę nań patrzeć, to mi zawsze oczy jakąś mglą zachodzą, a w téj mgle wizerunek Antosi to olbrzymieje, to maleje, jednak nie znika, aż nie wiedzieć skąd wezmą się łzy, i płyną czasem krócéj, czasem dłużéj?....

Dla uspokojenia, powtarzam sobie, że to są tylko łzy dumy, czyste i jadowite jak *aqua tophana* — albo łzy takie, jakiemi płacze chore, miotające się dziécię, że zasnąć nie może.

KONIEC.

1. ↑ Cisza na morzu.
2. ↑ Wicher, burza morska.

*Tekst jest **[właśnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autorów: [Placyd Jankowski](#), [Józef Ignacy Kraszewski](#).*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Powieść składana

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Alenutka
- Seboloidus
- Piotr433
- Wieralee
- PMG
- NiktWażny
- Rocket000
- ChrisiPK
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR
- Rei-artur
- Zanimum

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium